

Lass Small

W tę noc wigilijną

Rozdział 1

Tego lata Bob Brown wrócił do rodzinnego miasteczka Tempie, rozciągającego się za południowymi przedmieściami Cleveland w stanie Ohio. Rozglądał się wokół, jadąc wolno znajomymi ulicami. Był upalny sierpniowy dzień, wiał lekki wiaterek.

Lato na Środkowym Zachodzie nie jest dla ludzi. Gorąco i wilgoć odpowiadają tylko kukurydzy, a rodzice Boba nie uznawali klimatyzacji. Dom Brownów znajdował się na południowym przedmieściu Tempie, w kierunku przeciwnym niż Cleveland.

Bob niechętnie poprosił rodziców o schronienie, jednak alternatywą była wyłącznie pożyczka – coś w jego rodzinie nie do pomyslenia. Nie chodziło o skąpstwo; dzieci Brownów, naturalne i przygarnięte, mogły zawsze liczyć na gościnę. Wystarczyło powściągnąć dumę... Bob miał trzydzieści lat, ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, ciemne włosy, niebieskie oczy... nie miał pracy i był bez grosza.

Zaparkował w cieniu wiązu na bocznym podwórku. Poza traktorem i innymi miejscowymi pojazdami zobaczył dwa obce samochody. Na pewno goście; adoptowane dzieci Brownów wyprowadzały się zwykle w wieku, w którym można już dostać prawo jazdy.

Jeden z samochodów miał rejestrację z Indiany. Drugi musiał należeć do siostry Boba, Georgii, tyle że zmienił kolor z różowego na zielony. Powinna teraz być w Indianapolis. Co ją tu przygnało? Bob zmarszczył brwi.

Pierwszy na ganek wyszedł ojciec. Koszulka i szorty podkreślały atletyczną budowę ciała starszego mężczyzny. Miał krótko ostrzyżone włosy, przepasany był fartuchem. Z wysokości ganku obrzucił spojrzeniem wyładowany samochód i swego najstarszego syna.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

Ojciec Boba, Salty, służył przez dwadzieścia lat w marynarce. Walczył też na ringu i zainkasował zbyt wiele ciosów, co sprawiło, że jego głos brzmiał chrapliwie.

Bob otworzył drzwiczki i wysiadł z samochodu.

– Wróciłem – odpowiedział.

– Wprost nie mogę uwierzyć, że jesteś tu, a nie w Bostonie. Jeśli potrzebujesz pomocy...

Ojciec miał słabość zarówno do całego swego potomstwa, jak i do wszystkich adoptowanych dzieci. Bob, najstarszy z naturalnych synów, doskonale o tym wiedział. Rzucił szorstko:

– Potrzebuję tylko miejsca, w którym mógłbym złapać trochę oddechu.

– Już je masz. – Chrapliwy głos ojca podziałał na Boba jak balsam.

– Kto przyjechał z Indiany? – zapytał.

– Niespodzianka. – Ojciec uśmiechnął się.

– Widzę, że Georgia pomalowała samochód. Zrobiła to sama?

– Mogłaby, ale nie. Wyręczył ją ukochany.

– Ukochany? Nie była w Indianapolis aż tak długo, żeby... prawda?

– Jakoś zdążyła. – Ojciec pokręcił nieznacznie głową, ale nie przestał się uśmiechać.

– Lubisz go? – bardziej stwierdził niż zapytał Bob.

– Aha.

Bob przeciągnął zmęczone ramiona.

– Wszyscy dobrze się czują? – spytał ojca.

– Mamy też nowych domowników... – odparł Salty.

– Dzieci to ci nigdy nie zabraknie, prawda?

– Ktoś musi jeść to, co ugotuję.

– Co mamy dzisiaj w karcie?

– Zupę ogórkową, szynkę na zimno, sałatkę i arbuza.

– Jezuu, jak ja tęskniłem za tym domem. – Zdumiał się, że takie wyznanie przeszło mu przez gardło.

Ojciec skinął głową.

– Fajnie, że trochę tu pobędziesz. Mieliśmy kłopoty ze skompletowaniem drużyny do baseballu.

Bob zerknął na pochyloną stodołę, krowę, która wlepiła w nich zdumione spojrzenie, a dopiero potem znów na ojca.

– Jak idzie z samochodami?

Salty od niedawna sprzedawał samochody w Tempie.

– Mam parę wozów i płacę uczciwie komuś, kto umie tyle samo, ile nauczyłem ciebie.

Bob stał przy schodkach czując się tak, jakby miał dziewięć lat, a ojciec mógł rozwiązać wszystkie jego problemy. Pomyślał nagle, że chciałby, żeby tak było; chciałby przytulić głowę do brzucha ojca i pozbyć się straszliwej pustki, jaka go przepełniała. Rozdrażniło go to trochę, jednak uśmiechnął się do staruszka.

– Wojownik wrócił do domu lizać rany? – skomentował Salty.

Bob skinął powoli głową, potwierdzając celność uwagi.

– Fakt, tak właśnie się czuję.

– Ja też wracałem. Raz, czy dwa...

– Ale byłeś naprawdę na wojnie, a ja tylko próbowałem samodzielności.

– To najtrudniejsze. Nie wiedziałeś? Na wojnie masz kolegów. A tak? Jesteś sam.

Bob nie odważył się spojrzeć ojcu w twarz.

– No i mam tutaj ciebie, na wszelki wypadek...

– Nigdy o tym nie zapominaj. Jesteśmy tu zawsze – odpowiedział mu chrapliwy głos.

Po chwili na ganek wyszła matka Boba, Felicja, znacznie młodsza od swego męża. Zauważyła wszystko: pomięte ubranie, zarost na twarzy i przepełnione zmęczeniem spojrzenie syna.

– Dzięki Bogu, wróciłeś! – wykrzyknęła, jakby już dawno chciała go do tego nakłonić.

Bob uśmiechnął się smutno i skinął głową. Ruszył po schodkach, by wpaść w jej czułe ramiona.

– Dobrze, że jesteś. Salty właśnie szukał kogoś do pomocy. Nie mogłeś trafić na lepszy moment. Te samochody, które musi naprawić, spędzają mu sen z oczu. Ludzie trzymają je zbyt długo, tylko dlatego, że kupili je od Salty'ego. Uważają, że już piętnaście lat temu powinien był zadbać, żeby teraz chodziły jak nowe!

– I to za darmo – uzupełnił spokojnie ojciec.

– Jednym słowem, jak zwykle – podsumował Bob.

Felicja i Salty mieli pięcioro własnych dzieci; najmłodsze przebywało poza domem, w college'u. Zawsze przyjmowali do siebie obce dzieci; niektóre zostawały i były adoptowane, inne korzystały tylko z chwilowego schronienia. Teraz, w domu mieszkało ich szesćcioro: szesnastoletni Saul, inny piętnastoletni chłopak, jeszcze inny jedenastoletni i dwie sześciolatnie dziewczynki. Potem doszedł jeszcze dwunastoletni chłopiec.

– Ten nowy chłopak może cię trochę zdenerwować – poinformował go ojciec. – Mamy z nim kłopoty.

– Tak? – Bob wchodził z matką po schodkach, prowadząc ją do jednego z białych, wiklinowych foteli na ganku.

Salty spojrzał przeciągle na syna.

– Nazywa się Teller.

Bob pojął, że to dziecko zmusiło jego rodziców do skupienia na nim całej uwagi.

– Skąd to imię?

– On nie wie. – Salty nadal usiłował dać coś do zrozumienia wzrokiem.

Bob zmarszczył brwi. Ojciec próbuje go w coś wciągnąć? Mam dość własnych kłopotów, pomyślał. Muszę sam się pozbierać. Nie mam ani czasu, ani siły, żeby zajmować się jeszcze kimś innym. Potarł dłońmi twarz; potem opuścił ręce i wziął głęboki oddech:

– Pachnie tak samo, jak zawsze.

– To koza. – Salty zachichotał.

– Nie – w oczach Boba malowała się bezbronność – to dom. – Rozejrzył się po ganku, który aż prosił się o nową warstwę farby. – Widzę, że Abner jeszcze tu nie działał?

– Zwykle czekali z malowaniem na swego przyjaciela.

– Nie, ale wpadł ze swoim chłopakiem, żeby to obejrzyć; jest więc pewna nadzieja...

– Mógłbym to pomalować.

– Abner by się obraził – złajęła go Felicja.

Siostra Boba, Georgia, wyłoniła się z wnętrza domu, a za nią jakiś mężczyzna.

– Bob! – wykrzyknęła i uściskała swego potężnego brata.

Bob odwzajemnił uścisk, jednak spojrzawszy przez ramię siostry na towarzyszącego jej mężczyznę. Zmierzyli się wzrokiem i nieznacznie uśmiechnęli. Narzeczony Georgii nazywał się Lukę.

Ganek wypełniał się stopniowo pozostałymi domownikami. Bob witał się z rodziną; poznał też małą dziewczynkę zwaną Bratkiem z powodu ogromnych oczu.

Brakowało tylko Tellera.

Salty obserwował swego najstarszego syna. Dostrzegł nie tylko jego udrękę. Widział, że kłopoty nie złamały go całkowicie; pozostawiły miejsce na troskę także o innych ludzi.

Wszyscy pomagali przy przenoszeniu rzeczy Boba z samochodu do jego starego pokoju. To go zdziwiło.

– Nikt tu nie śpi?

– Wiek ma swoje przywileje – odparła Felicja.

– Trzymamy pokoje, twój i Georgii, takimi, jak były.

Sypiają w nich czasem goście. Małym dzieciom imponuje to, że mogą spać w pokojach starszych.

Bob niemal się uśmiechnął. Nie przebywał w domu od dwunastu lat, a matka pamiętała, gdzie trzymał swoje rzeczy i ułożyła je skrupulatnie w tych samych miejscach.

Większość rodziny udawała się wieczorem na przedstawienie teatralne, w którym Felicja grała matkę, a Georgia zastępowała chorą, dwunastoletnią aktorkę. Bob, zanim zadał pytanie, obrzucił siostrę pełnym niedowierzania spojrzeniem.

– Dwunastoletnią?

Lukę wybuchnął śmiechem.

Wtedy właśnie Bob usłyszał pytanie:

– Nie podoba ci się, że ktoś ma dwanaście lat?

– Głos brzmiał piskliwie, wrogo.

Bob obejrzał się. Zobaczył pochmurną twarz i spoglądające wrogo niebieskie oczy. Po chwili Teller odwrócił się gwałtownie i zniknął z pola widzenia.

Wieczorem, przed przedstawieniem, Bob zobaczył po raz pierwszy asystentkę reżysera chłonącą gorliwie, wprost niewolniczo każdą uwagę, każde słowo Felicji. Bob odniósł wrażenie, że ta kobieta jest tumanem. Poza tym była ruda. Bob nie znosił rudych dziewczyn od czasu drugiej klasy podstawówki, kiedy to Trisha Walker pokonała go w zapasach, a potem ciągle się tym chełpiła. Niesmaczne.

Później Bob zauważył, że asystentka reżysera trzyma się bardzo prosto; po chwili wiedział już dlaczego: musiała stać wyprostowana, żeby zrównoważyć ciężar własnych piersi. Ładnych, przyznał.

W niedzielę rodzina wybrała się do kościoła. Bob usiadł na skraju ławy, obok Georgii i Luke'a. Zauważył, że brakuje Salty'ego i Tellera.

Po chwili weszli, obaj lekko zaczerwienieni. Salty trzymał Tellera za ramię. Usiedli tak, że Teller znalazł się w bocznej nawie.

Bob był w kościele po raz pierwszy od dwóch lat. Teraz nie słuchał kazania; w myślach opowiadał Bogu o wszystkich swych rozczarowaniach. Właściwie mógł nie zawracać mu głowy, Bóg słyszał już te skargi wielokrotnie.

Gdy pastor doszedł do słów „... i pokój z wami”, Tellera już nie było. Powtórzyło się to kolejnej niedzieli. Teller siedział w nawie, lecz gdy kaznodzieja kończył nabożeństwo słowami o pokoju, znów zniknął.

Na kilka tygodni przed zejściem sztuki Felicji z afisza, Salty wyraził wreszcie zgodę na ślub Luke'a z Georgią. Dom zapełnił się hałaśliwymi gośćmi weselnymi z obu rodzin. Wszyscy rozmawiali, często wybuchali śmiechem.

Bob znosił to wszystko wytrwale. Wprawdzie nie miał nic przeciwko Luke'owi, jednak nie był już entuzjastą instytucji małżeństwa. Poważnym tonem zadał siostrze pytanie:

– Jesteś absolutnie pewna?

Błysnęła gniewnie oczami i odpowiedziała:

– Tak.

Teller nie brał udziału w ogólnej wesołości. Trzymał się na uboczu, rzucał ponure spojrzenia. Bob pomyślał, że powinien zająć się tym dzieckiem. Nikt inny nie miał czasu, a mały na pewno potrzebował kogoś, kto by go wysłuchał. Problem polegał na tym, że skłonienie go do mówienia wymagało na pewno całych pokładów cierpliwości. Bob westchnął i jęknął w duchu. Nie miał siły zajmować się kłopotami innych.

Podczas przyjęcia, które odbywało się w domu Brownów, Bob dostrzegł niepokojące, zielone oczy rudowłosej asystentki reżysera. Wyglądała jak czarownica, która może sprawić, że mężczyzna zrobi coś, czego będzie później żałował.

Starał się jej unikać. Z pewnością nie potrzebował kogoś, kto mógłby jeszcze bardziej skomplikować jego życie. Postanowił nie patrzeć na nią... kimkolwiek jest. Dostrzegł, że nieznajoma rozmawia często z jego siostrą, Carol, że zachowują się jak stare przyjaciółki. Nie zapytał jednak nikogo, jak nazywa się rudowłosa, choć najwidoczniej wszyscy świetnie ją znali. Bob wiedział tylko, że nie była wychowanką jego rodziców. Pamiętałby ją.

Gospodarze zwinęli dywany. Na deskach podłogi odbywały się tańce. Nieznajoma szalała na parkiecie, miała ogromne powodzenie. Z rozwianymi czerwonymi włosami wyglądała trochę demonicznie, a trochę swawolnie. Boba drażnił jej radosny śmiech. A ona... chyba w ogóle nie dostrzegła jego obecności.

Georgia rzuciła mu nagle swą wiązkę kwiatów, a Bob odruchowo ją chwycił. Wszyscy wybuchnęli śmiechem, jednak on sam zeszywniał. Przez cały rok usiłował rozerwać takie więzy... Na pewno nie po to, żeby teraz znów zacząć je zaciskać.

Włożył bukiet do wazy z ponczem i szybko wyszedł na dwór. Musi poczekać, aż jakieś inne zdarzenie odwróci od niego uwagę gości. Potem wrócił i czekał niecierpliwie, aż ruda sobie pójdzie i wieczór się skończy.

Dlaczego uważam, że przyjęcie dobiegnie kresu wraz z jej odejściem? – pomyślał spłoszony.

Bob zdawał sobie sprawę, że jest jedyną osobą, która nie śmieje się, nie

rozmawia. Uśmiechnął się chyba tylko dwukrotnie. Śluby i wesela nie są zabawne. Są czymś śmiertelnie poważnym. Nikt poza nim tego nie dostrzega.

Wreszcie Lukę i Georgia odjechali, by spędzić miodowy miesiąc na jakiejś łodzi na jeziorze Michigan. Potem wrócą do Indianapolis. Nikt jednak nie przejął się ich odjazdem. Goście pomachali im na pożegnanie i bawili się dalej.

Ostatni z tych, którzy nie nocowali u Brownów, odjechał prawie o czwartej nad ranem, a jeszcze wtedy pozostali kontynuowali rozmowy.

Bob wyszedł na zewnątrz. Wsłuchiwał się w ciszę letniego poranka. Dopiero po chwili dostrzegł, że ma towarzystwo: Teller siedział na jednej z bram i wpatrywał się w niebo. Po chwili westchnął ciężko. Bob poczuł, że coś ich łączy, jednak odszedł po cichu, pozostawiając chłopca samego.

Po ceremonii weselnej w domu Brownów znów zapanował spokój, jednak coś się zmieniło. Wszyscy byli pogodniejsi, bardziej hałaśliwi i skorzy do śmiechu. Bob uznał, że to nie ma sensu. Z czego się tu cieszyć?

Zastąpił Luke'a w drużynie baseballowej. Dzieciaki uskarżały się, że nie biega zbyt szybko. Popędzały go i gwizdały. Niech im będzie.

Bobowi wracał apetyt, jednak nadal cierpiał na bezsenność. Marzył o tym, by spać, by wieczorem nie nękały go koszmary.

Oglądał samochody w warsztacie ojca. Użytkowanie jednego z nich zakrawało na zbrodnię popełnianą na środowisku. Bob wdał się w rozmowę z jego właścicielką:

– Wie pani przecież, że powinna pani kupić nowy samochód. Stać panią na to, pani Carstairs, a zbliża się zima.

– Ten jest doskonały – odpowiedziała jednak właścicielka.

– Proszę spojrzeć na te spaliny. Jest pani przewodniczącą komitetu pań działających na rzecz środowiska, a stare samochody na pewno nie poprawiają jakości powietrza.

– To tylko jeden samochód, Bob. Nie zanieczyści całego stanu. – Poklepała go po policzku.

– Pewnego dnia Bob zwrócił się do ojca:

– Powinieneś znaleźć jakąś firmę, która prowadziłaby naszą księgowość. Mamy straszny bałagan.

– Tak? – Salty wyglądał na zdziwionego. – Dlaczego ty się tym nie zajmiesz?

– W tym domu nie ma na to miejsca.

– No tak, racja. Hmm. Znasz ten stary budynek na rogu Elm i Trzeciej? Jest

pusty. Może by się nadawał?

– Dobrze, rzucę na niego okiem – odparł Bob i dodał niecierpliwie: – Dlaczego nie dasz pani Carstairs w prezencie nowego samochodu? Inne panie zżółkną z zazdrości i żeby jej dorównać, pozbędą się tych mastodontów.

– Rzeczywiście, niezła myśl – rzucił Salty, choć widać było, że nie zwrócił uwagi na słowa syna. Zmienił temat: – Teller jest kiepskim mechanikiem.

– Jeśli zobaczę, że znów grzebie w jakimś samochodzie, chyba go spiorę – odparł Bob. – Musiałem wymienić przewody w ciężarówce Jimmy'ego Gatesa, bo Teller sprawdzał, czy da się tam zainstalować sześć głośników.

– Zainstalował? – zaintrygował się Sally.

– Nie. Nigdy przedtem nie widziałem tak poplątanych przewodów.

– No cóż, pokaż mu, jak się to robi.

– Trzymaj go z dala od tych gratów – zażądał Bob. – Niech pracuje przy traktorze!

– Zabroniłem mu dotykać traktora.

– Rozciągnij zakaz na te gruchoty! – krzyknął Bob odchodząc. Uwaga ta wywołała uśmiech na twarzy ojca.

Bob obejrzał budynek przy Elm i Trzeciej. Stwierdził, że się nadaje. Razem z przybranymi braćmi sprzątał go przez kilka dni i powierzchownie remontował.

Pomalowali drewniane elementy parterowego budynku z cegły, upewnili się, że dach nie przecieka i odnowili ściany. Chłopcy otrzymywali za tę pracę wynagrodzenie. Teller pracował dobrze, lecz w milczeniu. Trzeba było mu wszystko tłumaczyć, jednak słuchał i uczył się szybko. Bob powiedział ojcu, że mały jest chętny do pracy. Staruszek bardzo się z tego ucieszył.

Bob zatrudnił w biurze Mary Swanson, wdowę z dorosłymi dziećmi. Wtedy właśnie Salty oświadczył:

– Założyłeś biuro, możesz je prowadzić albo nadzorować z jakiegokolwiek innego miejsca w kraju. To twój interes, a ja sprzedam ci budynek.

Bob spojrział na akt notarialny. Stwierdził, że dom zakupiono wkrótce po tym, gdy zatelefonował do ojca i zapytał, czy mógłby wrócić do domu.

Gdy sprowadził biurowe meble i zaczął wprowadzać panią Swanson w tajniki programów komputerowych, zaczęły się odwiedziny. Ludzie wpadali, żeby zapytać, co zamierza robić. Bob cierpliwie wyjaśniał wszystko starym przyjaciółom rodziny.

Gdy biuro zaczęło już działać, przychodzili, żeby poprosić Boba o prowadzenie

ksiąg i rachunków. Cieszyli się, że nie muszą już sami zawracać sobie tym głowy. Życie wśród przyjaciół jest zdecydowanie łatwiejsze. Bob wiedział zresztą, że jego ojciec zrobił wszystko, by wiadomość o nowym biurze szybko się rozeszła.

Mary Swanson pokochała komputery. Bob zatrudnił też drugiego pracownika, mężczyznę równie zdolnego jak Mary. Żałował, że nie miał ich przy sobie w Bostonie. Nie zmieniliby to niczego, jednak po prostu byłoby przyjemnie pracować z nimi w wydziale rachunkowości.

W końcu września Felicja powiedziała przy śniadaniu:

– Bob, przygotowujemy przedstawienie na motywach wiersza Clementa Clarke'a Moore'a „Noc Wigilijna”. Potrzebujemy cię do roli taty. Musisz tylko zajrzeć do dzieci, sprawdzić kominek i choinkę, a potem pójść do łóżka, z którego wyskoczysz i wyjrzysz przez okno. Później będziesz już tylko patrzył, jak Święty Mikołaj opróżnia torbę. Nic wielkiego.

– Nie.

Matka wlepiła wzrok w syna, jakby wyrosła mu nagle druga głowa.

Bob wytrzymał to spojrzenie.

– Zatem proszę o wybaczenie – wycedziła chłodno, jakby karciała małe dziecko.

Bob nie był już dzieckiem; nauczył się tego i owego.

– Wybaczam – odparł.

Wybuchnęła śmiechem. Obrzucił ją poirytowanym spojrzeniem i zaczął po prostu jeść.

– Zagrasz w tym przedstawieniu? – spytał Salty żonę.

– Nie, kochanie. Tym razem będę reżyserem. I potrzebuję Boba. – Powiedziała to łagodnie, prawie niedbale, jednak nie zmyliła syna, którego ogarnął niepokój.

Felicja powtórzyła:

– Potrzebuję Boba do roli taty.

Salty skinął głową.

Bob ścisnął kurczowo łyżkę; zamarł, czekał na rozkaz ojca.

Zapadło milczenie.

Bob spojrzał na matkę, potem na ojca. Zauważył, że uśmiechają się do siebie tak ciepło, iż poczuł się intruzem. Przeprosił ich i wstał od stołu. Spodziewał się, że ojciec zawoła, by zaczekał, lecz to nie nastąpiło. Bob wdrapał się na stryszek stodoły, gdzie piętrzyło się świeże, pachnące siano. Położył się. Jako dziecko często szukał schronienia w tej stodole. W Bostonie bardzo za tym tęsknił.

Przez pewien czas nikt mu nie przeszkadzał; panowała cisza. Potem usłyszał

odgłos otwieranych drzwi i kroków. Czy to ojciec? Chce go zmusić do udziału w przedstawieniu? Bob ostrożnie wysunął głowę za krawędź stryżku i spojrzął. Koza. Uśmiechnął się i odwrócił na plecy. Przeciągnął się z rozkoszą. Jest w domu. Czy nie jest za stary, by szukać tu schronienia? No cóż, stało się.

Przypomniał sobie dzień, w którym zwabił na stryżek Betty Lou. Leżeli nieruchomo, bojąc się, że ktoś ich nakryje. Betty Lou... Teraz miała już pięcioro dzieci, a do tej pory czerwieniła się na widok Boba. Tak tu wygodnie... Zasnął.

Kiedy się obudził, minęła już pora obiadu. Od dawna nie spał tak długo.

Schodząc po drabince zobaczył Teller'a i uśmiechnął się do niego.

– Co cię tak śmieszy? – obruszył się chłopak.

– Nic. Zgłodniałem.

– Co w tym śmiesznego? To raczej przykre. A więc Teller bywał głodny?

– Nic, po prostu już od dawna nie miałem apetytu.

– Ale jadłeś.

– Tak i... nawet tego nie doceniałem.

– Teller nie odpowiedział.

– Chodź, usiądziesz ze mną – dodał Bob. – Może jeszcze coś zjesz?

Chłopak drgnął, jakby chciał ruszyć za mężczyzną, jednak stanął jak wryty i powiedział:

– Nie.

– Mówi się: nie, dziękuję – poprawił go Bob i natychmiast tego pożałował.

– Nie, ty skur...

Chwycił chłopaka za ramię i powiedział:

– Uważaj, takiego języka nie wolno tu używać. – Potem porzucił groźny ton i zapytał przyjaźnie: – Co było na deser?

– Lody.

– Chodź, podzielę się z tobą swoimi.

Teller nie zareagował.

Po południu pracowali razem przy samochodach. Bob dłubał w silniku, a Teller podawał mu narzędzia.

– Jak leci w szkole? – zapytał chłopca.

– W porządku.

– Jesteś w piątej czy w szóstej?

– W piątej.

– Kiedy ja byłem w piątej, miałem do czynienia z panią Vincent.

– Ja też mam! – wybuchnął Teller, a jego oczy rozszerzył strach.

– Powiem ci coś – zaczął Bob. – Gdy uczeń robi swoje i słucha, ona przemienia się w anioła.

Teller spojrział z niesmakiem i powstrzymał się od komentarza.

Nie jest stracony, pomyślał Bob. Wymaga tylko cierpliwości i uwagi.

– Jak tam twój przyjaciel? – zapytał Boba wieczorem Salty.

– Przyjaciel? Chyba żartujesz? – rzucił Bob kwaśnym tonem.

– Zauważyłem, że stara się ciebie naśladować.

– W każdym razie nie w pracy. Ostatnio włączył silnik, kiedy włożyłem głowę pod maskę. Jak go złapię, to chyba go spiorę.

Salty skinął głową.

– Zauważyłem też, że zwariował na punkcie mechaniki. Od ślubu Georgii muszę zamykać traktor.

Chyba byłoby bezpieczniej, gdybyś nauczył go chociaż podstaw...

– Zastanowię się, kiedy przestanie mnie złościć.

Salty nie wspomniał ani słówkiem o gwiazdkowym przedstawieniu. Nie było o tym mowy ani do końca września, ani w październiku. Bob był gotów się bronić, jednak ojciec nie poruszał tego tematu.

Bob przebywał w domu już od trzech miesięcy. Nie zdając sobie z tego sprawy uspokoił się, rozluźnił. Pracował ciężko, płacił rachunki, odłożył nawet trochę pieniędzy. Dziwne! Znow był wypłacalny.

Rozdział 2

Pewnego pięknego dnia w końcu października, gdy snuły się nici babiego lata, a drzewa przybrały już jesienne barwy, Bob poszedł do warsztatu, by na świeżym powietrzu popracować przy gruchocie pani Sanders. Zastał otwartą maskę, spod której wystawały nogi Tellera w dżinsach i ciężkich butach. Co więcej, widać było, że grzebał już sam w innym samochodzie, a tego nie wolno mu było robić pod żadnym pozorem.

Bob szybko podszedł i z satysfakcją wymierzył chłopakowi naprawdę silnego klapsa. Teller gwałtownie uniósł głowę i uderzył nią w maskę silnika. Potem pozbierał się jakoś i masując pośladki stanął naprzeciw Boba. Mężczyzna wziął głęboki oddech, lecz słowa reprimendy zamarły mu na ustach, gdy zobaczył rude włosy... Przecież włosy Tellera są czarne...

Stała przed nim rozwścieczona asystentka reżysera.

– Co się z panem dzieje? Jak pan śmiał? – wycodziła przez zęby.

Zamachnęła się szeroko, mierząc w twarz. Trafiałaby, gdyby nie cofnął się w ostatniej chwili. Straciła równowagę, a zaskoczony Bob podtrzymał ją, by nie upadła. Nigdy jeszcze nie widział aż tak rozzłoszczonej kobiety.

– Nie wiedziałem, że to pani – wyjąkał.

– Bije pan tylko niektórych ludzi?

– Muszę czasem skarcić krnąbrne dziecko. Co pani robiła w tym samochodzie?

– Jestem mechanikiem. Zaśmiał się niegrzecznie.

– Wynocha! – warknęła.

To go oburzyło. Odpowiedział cierpko:

– Ten warsztat należy do mojego ojca, a ja tu pracuję.

– A ja pracowałam tu przez siedem lat. To mnie Salty powierzył samochód pani Sanders. Proszę odejść, bo go zawołam!

Bob poczuł rozgoryczenie, jednak... bolała go jeszcze dłoń. Pomyślał o czerwonym odcisku ręki na... na niej. Jego ręki. Odwrócił się zakłopotany i zobaczył Tellera, który zafascynowany nie odrywał od nich wzroku.

Bob zrozumiał nagle, dlaczego chłopak zainteresował się samochodami. Zakochał się w tej jak jej tam! Chyba przyszedł dopiero teraz. Na pewno potraktowałby kopniakiem agresora, który zaatakował przedmiot jego westchnień. Dlaczego ten chłopak nie jest w szkole? Spokojnie, wszystko po kolei, zmytygował się.

– Jak pani na imię? – zapytał wreszcie rudowłosa. Przysięgłby, że to pytanie wywarło na niej wrażenie. Może ktoś już ich sobie przedstawił? Wysilił pamięć. Niczego sobie nie przypomniał.

– Nie pańska sprawa – warknęła.

Teller zorientował się, że zaszło coś złego i spojrzał złowieszczo na Boba.

Bob rozumiał Tellera, gdyż jako dwunastolatek kochał się w starszej, osiemnastoletniej dziewczynie. Zaczął już wyjaśniać swój błąd, gdy nagle uświadomił sobie, co chłopak poczuje, gdy ukochana usłyszy, jak ktoś nazwie go dzieckiem i wyjaśni, że nie wolno mu samemu zaglądać pod maskę samochodu. Urwał więc i przeprosił tylko kobietę.

– Uciekł pan z domu wariatów? – zareagowała na przeprosiny.

– A pani urwała się ze smyczy? – odpałił.

Stali naprzeciw siebie, obrzucając się nienawistnymi spojrzeniami. Wtedy przyjechał Salty.

Jeśli nie padał deszcz, mieszkańcy Tempie chodzili zawsze piechotą, żeby nie stracić okazji do usłyszenia najnowszych plotek. Tego dnia Salty złamał tę zasadę.

– No cóż – rzucił wesoło na powitanie. – Widzę, że mój syn sobie tu flirtuje.

– Tylko bije – sprostowała ruda.

– No nie!

Salty widział wszystko z ganku, przez marynarską lornetkę; dlatego właśnie przyjechał.

– Myślałem... – zaczął Bob. Urwał, przypominając sobie o Tellerze. – Nie wiedziałem, kto grzebie w silniku. Mogłeś mnie uprzedzić, że zatrudniasz niezwykłego mechanika.

– Niezwykłego? – wtrąciła się do ich rozmowy ruda.

– Kobietę – wyjaśnił Bob, nie patrząc w jej stronę.

Salty podszedł i pocałował rudowłosa w policzek.

– Dzień dobry, kochanie – powiedział. – Czy ten brutal cię skrzywdził?

– Tak.

– No cóż, chłopak przebywał poza domem przez dwanaście lat. Muszę trochę nad nim popracować – oświadczył starszy pan.

– O Jezu! – wybuchnął Bob i zwrócił się do kobiety:

– Niech pani pójdzie do domu i przyłoży sobie lód.

Najpierw do czoła. – Odwrócił się i poszedł do samochodu.

– Czy ten osobnik jest twoim synem? – zapytała Salty'ego ruda.

– Przynajmniej Felicja tak twierdzi.

– On jest niebezpieczny. Trzeba go wygnać z miasteczka.

Salty smutno pokręcił głową.

– Nie mogę. Felicja potrzebuje go do roli taty w...

– Nie! – krzyknął Bob.

Salty obrzucił syna zdumionym spojrzeniem.

– Nie zdecydowałeś się jeszcze?

Bob zrozumiał, że prawdziwym aktorem jest Salty, a nie matka.

– Nie zagram w tej sztuce – oświadczył spokojnie.

– Dzięki Bogu! – wykrzyknęła ruda.

– Co pani do tego? – obruszył się Bob. – To Felicja reżyseruje, a nie pani.

– Ja gram matkę.

Bob westchnął z ulgą. Jak dobrze, że coś mnie tknęło i odmówiłem już przedtem, pomyślał. Nie mógłbym wejść do łóżka z tą wiedźmą, nawet na scenie. Zwłaszcza na scenie, poprawił się w myślach.

Salty nie nalegał. Zwrócił się do Teller:

– Odwiozę cię z powrotem do szkoły. Chcesz poprowadzić?

– Aha.

– Do zobaczenia na obiedzie – rzucił Salty do dwojga antagonistów.

– On ma dwanaście lat. – Bob uznał, że powinien przypomnieć ojcu o tym fakcie.

– No cóż, sięgnie nogami do pedałów i może już patrzeć nad kierownicą. Jedźmy.

Wsiedli do samochodu. Teller włączył starter i niezgrabnie ruszył. Bob wybuchnął śmiechem i odwrócił się do rudej, jednak ta pochylała się już nad silnikiem naprawianego samochodu. Odczekał chwilę i zapytał:

– Pomóc pani?

– Nie.

Bob obejrzał czyste, nowe samochody na parkingu i wszedł do pawilonu. Sprzedawca pucował jeden z dwóch zaparkowanych wewnątrz wozów.

– Nie wiedziałem, że tata zatrudnia kobiety – zagał Bob.

Rick uniósł głowę.

– Co?

– Ruda. Nie wiedziałem, że mamy kobietę mechanika.

– Aha.

– Skąd ona jest?

– Stąd.

– Stąd? Jak się nazywa?

– Jo, to znaczy Josephine. Josephine Malone. – Rick spojrział kpiąco na Boba i pochylił się nad samochodem.

– Chcesz wypolerować lakier do gołej blachy?

– A co mam robić? Sprowadź jakiegoś klienta, to przestanę.

– Dobrze – zgodził się Bob. – Będzie padać. Zadzwoń do pani Carstairs i powiem, że w jej gruchocie trzeba wymienić skrzynię biegów. Przybiegnie tu zaraz, żeby się kłócić. Gdy zacnie padać, zaproszę ją do środka. I już ją masz.

– Zagadam się na śmierć, a i tak nic z tego nie wyjdzie.

– Nie gadaj. Odsuń się trochę i podziwiał. Potem wsiadł, włączył radio i pogwizdując w takt melodii. Zrób tak, żeby oszalała na punkcie tego samochodu.

– Rick przerwał polerowanie i spojrział uważnie na Boba.

– Gdzie się tego nauczyłeś?

– Na kursie sprzedaży komputerów.

– To działa przy samochodach?

– Dlaczego nie? – Bob wzruszył ramionami.

– A czy... czy skrzynia biegów jest rzeczywiście do wyrzucenia?

– Znasz mnie od dziecka. Wiesz, że nie robię takich numerów...

– No dobra, zadzwoń do niej.

Bob zatelefonował. Pani Carstairs oświadczyła, że zjawi się za piętnaście minut.

Wyszedł na zewnątrz i podszedł do Jo, która na jego widok szybko wyprostowała się, jakby w obawie, że znów ją uderzy.

– Będzie padać – zagaił Bob. – Chcesz wstawić samochód do środka?

– Nie.

To chyba jedyne słowo, jakie ona zna, pomyślał Bob.

Przypominała jego byłą żonę. Nie chciał mieć nic wspólnego z żadną kobietą, a z taką w szczególności.

Wsiadł do samochodu pani Carstairs i wjechał nim do garażu. Uruchomił podnośnik; samochód podjechał na tyle wysoko, że można było oglądać go od spodu. Potem wyszedł na zewnątrz, a gdy zobaczył panią Carstairs, ruszył jej na spotkanie.

– Ma pani parasol? – spytał.

– Nie. Zamierzam wrócić samochodem.

– To niemożliwe bez nowej skrzyni biegów. Podniosłem samochód, żeby pokazać pani, jak wygląda od spodu.

– Był tak zajęty wyjaśnianiem bezsensu pakowania pieniędzy w ten wrak, że nie zauważył Jo, która podeszła i przysłuchiwała się uważnie. Ściemniło się, zagrzało. Pani Carstairs nie odzywała się ani słowem.

– Musi mi pani przyrzec, że nie wyjedzie tym samochodem z miasta. To by było bardzo niebezpieczne – zakończył.

– No cóż, chyba pokażesz mi teraz ten czerwony samochód w pawilonie – westchnęła właścicielka gruchota.

Boba zatkało.

– Jest pani sprytniejsza, niż myślałem – wykrztusił.

Wybuchnęła śmiechem.

– Pamięta pani Ricka? – zapytał Bob, gdy znaleźli się w pawilonie.

– Oczywiście. Jak tam dzieci?

– Świetnie. – Rick odsunął się nieco, spojrzał i wrócił do błyszczącego szarego samochodu, żeby zetrzeć ostatnią, mikroskopijną plamkę.

– Rick, pani Carstairs chciałaby obejrzeć czerwony samochód.

Rick zmieszał się, jednak szybko przywołał na twarz promienny uśmiech.

– Ten wspaniały samochodzik? Bardzo proszę.

Bob wrócił do gruchota, opuścił go i poklepał po masce.

– To dobry samochód – odezwała się Jo.

Zagubiony w myślach Bob odruchowo skinął głową i dodał:

– Tak, kiedyś był dobry. Teraz... – drgnął. Odezwała się do niego, choć nie musiała?

Dziewczyna zniknęła w korytarzu prowadzącym do magazynu. Nagle zgasło światło. Wyłączenia prądu podczas burzy nie były w Tempie czymś niezwykłym. Bob chwycił latarkę i ruszył korytarzem.

– Jo? – Po raz pierwszy zawołał ją po imieniu. – Jo?

– powtórzył.

– Tu jestem – usłyszał w odpowiedzi niepewny głos.

Uderzył piorun. Zdawało się, że potężny grzmot wstrząsnął posadami ziemi. Światło latarki wydobyła z mroku rudowłosa. Szeroko otworzyła oczy, dygotała. Czyżby się bała?

– Zrobiło się trochę głośno – powiedział, żeby ją uspokoić. – Wyjdźmy stąd, lepiej nie stać w tym składzie metalu.

Wziął ją łagodnie za rękę i wyprowadził.

– Moja siostra, Georgia, chowa się w czasie burzy pod łóżko.

Jo nie odpowiedziała. Czuł, że jej dłonie są lodowato zimne. Aż tak się boi? To

dziwne. Wydawało się mu przedtem, że jest niezwyciężona. Skierował snop światła latarki na podłogę, żeby rozproszyć nieprzeniknione ciemności.

– Kiedyś przeżyłem tornado – powiedział, by odwrócić uwagę dziewczyny od burzy. Zareagowała dygotaniem, więc zmienił temat: – Mieszkasz w Tempie od urodzenia?

Skinęła głową.

– Jak mogłem cię przegapić?

– Byłeś starszy.

Usłyszał dzwonięcie zębów, gdy spojrzała w kierunku garażu.

– Może pójdziemy do pawilonu? – zaproponował.

Chciał iść, jednak Jo trzymała go kurczowo za rękaw koszuli. Sprawilo mu to przyjemność.

– Jesteś w najbezpieczniejszym miejscu – powiedział i dodał: – Ja tu jestem, więc jesteś bezpieczna.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem. Postanowił mówić, żeby odwrócić jej uwagę od burzy:

– Wspomniałaś, że jestem starszy. Nie jestem wcale taki stary. Dlaczego cię nie pamiętam?

– Wyjechałeś.

– Tak, wróciłem w sierpniu. Ile masz lat?

Była na tyle młoda, że to pytanie nie sprawilo jej przykrości.

– Dwadzieścia trzy.

– Niewiele. – Uśmiechnął się.

To ją zirytowało i odwróciło uwagę od burzy.

– Byłaś w technikum samochodowym?

– Mój ojciec miał stację benzynową.

– Ach tak, pamiętam. Nadal ją macie?

– Nie. Ojciec zmarł, mamie stacja nie była do niczego potrzebna, a ja byłam daleko, w szkole.

– Dlaczego wróciłaś?

– Znam tu wszystkich...

Przerwał jej rozdzierający huk.

Pisnęła cicho, bezbronnje. Bob poczuł, że mógłby sam podtrzymywać walące się mury, żeby tylko ją ochronić.

– Hej, Jo, naprawdę nic się nie stało. – Spróbował objąć ją ramieniem, jednak odepchnęła go i ostro zaprotestowała.

To go zdziwiło. I trochę oburzyło. Przecież chciał tylko ją uspokoić. Odwrócił się i wbił wzrok w przecinane błyskawicami strugi deszczu. Po chwili zauważył, że dziewczyna skuliła się na podłodze, osłaniając głowę ramionami.

Bob podszedł do niej i przykucnął. Objął Jo i zaśpiewał „Deszczu, deszczu, odejdz daleko”. Płakała?

– To niema sensu. Powinnaś przejść jakieś leczenie, skoro reagujesz tak na byle burzę. Wiesz, jest jesień.

Pojawi się gołoledź, a potem śnieg. Będziemy mieli urwanie głowy z zakładaniem zimowych opon. Jesteś w tym dobra?

Mówił tak, aż nagle poczuł, że jak na kogoś, kto nie lubi kobiet, reaguje zbyt żywo na kobiecość tej, którą trzyma w ramionach. Była skulona, jednak bok jej piersi dotykał do jego żeber, a te przekazywały impuls reszcie ciała. Przyłapał się na myśli, że chciałby przycisnąć twarz do jej twarzy i chłonąć jej zapach... Nerwowo przełknął ślinę i zaczął mówić. Opowiadał jej o przygotowaniach do zimy.

– Moznaby pomyśleć, że nie przyjmujemy zimy do wiadomości – zaczął. – Abner nie pomalował jeszcze domu, nie założyliśmy podwójnych okien... – Plótł tak o codziennych sprawach, aż poczuł, że dziewczyna jest spokojniejsza. Przy kolejnym grzmocie już tylko lekko drgnęła. Oddychała jednak trochę szybciej niż zwykle.

Gdy burza oddaliła się na północny wschód, nad jezioro Erie, zapytał:

– Co się, u diabła, stało, że tak panicznie boisz się burzy?

Nie odpowiedziała; uwolniła się z jego objęć. Widać było, że krępuje ją, iż w świetle latarki mógłby dostrzec jej rumieniec. Postanowił odwrócić uwagę dziewczyny.

– Czy twoje włosy są naturalnie rude? To ją wzburzyło.

– Na miłość boską!

– Czy golisz...

– Nie!

– ... włosy pod pachami?

– Zacisnęła usta. Widać było, że to pytanie naprawdę ją zirytowało. Uśmiechnął się.

– Nie musisz się ze mnie wyśmiewać!

– Wcale się nie wyśmiewam – odpowiedział bardzo łagodnie. – Odwracałem tylko twoją uwagę od burzy. Wiem, co to znaczy być naprawdę przerażonym. Ktoś kiedyś pomagał mi tak samo.

Po chwili spojrzała mu w oczy.

– Nie wierzę. Nie wierzę, że naprawdę się czegoś bałeś.

– Każdy ma swoją piętę Achillesa. Ale większość ludzi potrafi kontrolować strach.

Skinął głową.

– Musisz z kimś porozmawiać. Może z facetem zapowiadającym pogodę.

Obdarzyła go wyrozumiałym spojrzeniem, ale... w jej wzroku coś się zmieniło, a głos, gdy powiedziała: „dziękuję” zabrzmiał poważnie.

– Kto zwykle trzyma cię za rękę?

– Ja sama.

– Kobieta ze stali? A może jednak?

– Nie mam nikogo.

– A twoja matka?

– Wyjechała. Mieszka z moim bratem.

– Johnem? – Tak.

– Pamiętam go.

– Jego żona odeszła z innym mężczyzną i zostawiła go z dziećmi.

– Cieszę się, że pojechała do niego twoja matka, a nie ty.

– Dlaczego to mówisz? – zapytała.

– To przykre, kiedy młoda kobieta musi w taki sposób przejmować obowiązki innej.

– Pomyśl o swojej rodzinie. O wszystkich dzieciach „innych kobiet”, które wychowali twoi rodzice.

– Robią to razem. To zupełnie co innego.

– Kiedyś marzyłam o tym, żeby być córką Felicji i Salty'ego. W waszym domu zawsze było tak wesoło...

– Czasami kłócimy się do upadłego. Powinnaś widzieć wtedy Salty'ego! Jest naprawdę twardy. A teraz mamy Tellera. Podkochuje się w tobie. Wiedziałaś o tym? To dlatego nie mogłem powiedzieć, że wtedy, przy samochodzie, wziąłem cię za niego. Nie przy nim. Bardzo mi przykro, że cię uderzyłem. Jemu nie wolno grzebać samemu w samochodach. Jeszcze zbyt mało o nich wie. Zadurzył się w tobie. Chyba przez ten kolor włosów.

– To moje przekleństwo. – Westchnęła smutno.

– Przekleństwo? Dlaczego?

– W mojej rodzinie rudzi zawsze źle kończą.

Przyglądała się swoim dłoniom. W jej głosie zabrzmiała nuta rezygnacji.

– Muszą zejść z właściwej drogi? – zakpił.

– Nie wiem.

– Sam przyczyniłbym się chętnie do twojego upadku. – Uśmiechnął się.

– To nie jest śmieszne – odpowiedziała smutno.

– Kochanie, nigdy nie spotkałem tak spiętej kobiety. Przecież nie ma żadnego niebezpieczeństwa. Źle skończysz? To po prostu głupie.

– Nie uważasz, że jesteś trochę gruboskórny?

– Nie. Gdybym był, nie wpadłbym w kłopoty. – Spochmurniał.

– Nie wiedziałbyś, że masz kłopoty, nawet gdyby siedziały ci na kolanach.

To dawało do myślenia. Przecież ona sama jeszcze przed chwilą niemal siedziała na jego kolanach. Zastanowił się. Czy ta dziewczyna jest „kłopotem”? Chyba nie. Nawet, gdyby tego chciał, ona nie zechce. Nikt świadomie nie pakuje się w tarapaty, ani mężczyzna, ani kobieta. Ona uważa, że rude włosy są przekleństwem. Słyszał kiedyś, że w dawnych czasach w Anglii istniał taki przesąd. Zadziwiające czego to ludzie nie wymyślą. Idiotyzm.

Spojrzał na ściągnięte kokardą włosy Jo. Chciałby zanurzyć w nich ręce i całować twarz, aż oczy dziewczyny... O czym, u diabła, on myśli?

A więc ona uważa, że z powodu włosów jest „przeklęta”. Jego przekleństwem jest pożądanie. Patrzy na nią i czuje rozkoszny ból, który stara się ignorować.

No cóż, widocznie mężczyźni muszą mieć problemy... Tacy się już rodzą.

Rozdział 3

Czekali, aż przestanie padać. Pani Carstairs wysłuchiwała informacji o swym nowym samochodzie, a sama opowiadała o zaletach starego. Chciała, żeby w składnicy złomu sprasowano go w kostkę tak, żeby mógł służyć jako stolik do kawy.

– Za dużo waży – tłumaczył jej Bob. – Byłby zbyt ciężki. Musiałaby pani wzmocnić podłogę dodatkowymi belkami.

Pani Carstairs niechętnie zrezygnowała ze swego pomysłu.

Bob wracał do domu nieco później niż zwykle. Kierunek wiatru uległ zmianie na północno-zachodni. Ostatni nawrót lata. Nadchodzi zima.

Skręcił z pokrytej żwirem drogi w krótką alejkę. Idąc przyglądał się siedzibie rodziców, która z pewnej odległości wyglądała jak sterta desek.

Dom wraz z przyległym do niego terenem przypominał ekscentryczną rupieciarnię. Luky, który wykonywał u nich prace ciesielskie, radził sobie z większością problemów. Nie dotyczyło to koślawej stodoły. Kilka razy w roku cała rodzina zasiadała przy stole i dyskutowała, czy budowla pochyla się bardziej, czy też nie.

Bob mierzył wzrokiem dom. Uznał, że zamontowanie podwójnych okien jest jego obowiązkiem, w takim przynajmniej stopniu, jak obowiązkiem innych mieszkańców. Mogę zacząć już dziś po południu, pomyślał. Zaczął liczyć okna; naliczył przerażająco dużo.

W kuchni zastał tylko ojca, który przygotowywał na kolację ogromny kawał wieprzowiny.

– Czy mama wie, że grasujesz po okolicy i całujesz rude kobiety? – zadał mu pytanie Bob.

– Wpływ teatru, powinieneś przecież wiedzieć. Czyżby to raniło twoje uczucia?

– Nie.

– To prawdziwy klejnot.

– Ona uważa, że rude włosy są przekleństwem.

– No nie! Kto jej to powiedział?

– Nie wiem, ale ktoś jej wmówił, że musi źle skończyć.

– Niech szlag trafi drania, który zrobił coś takiego temu słodkiemu dziecku!

– Masz rację.

Salty nalał synowi zupy. Dodał do tego bułeczki. Gdy młody mężczyzna zaczął

pochłaniać jedzenie, jego ojciec włożył mięso do piecyka. Przed kolacją zapach wypełni cały dom, a wszystkim pocieknie ślinka, jak wygłodniałym psom.

– Teller wrócił dziś rano do szkoły – poinformował Salty.

– Jak udało ci się odnieść taki sukces?

– Pozwoliłem mu prowadzić samochód.

– To wbrew prawu. On jest zbyt młody.

– Poprosiłem Pete'a o pozwolenie; tylko w taki sposób mogłem poradzić sobie z chłopakiem. – Pete był szefem policji w Tempie.

– Skąd wytrzasnąłeś tego szczeniaka?

– Pamiętasz Lanny'ego? Mieszkał tu, kiedy miałeś dziewięć lat.

– Aha, fajny facet.

– Tak. Teraz zajmuje się trudną młodzieżą. Poprosił nas specjalnie, żebyśmy wzięli Tellera.

– Co on takiego zbroił?

– On? Nic. To jemu wyrządzono krzywdę. Musimy mu pomóc, sprawić, żeby miał jakieś dzieciństwo. Ostatnio wychowywał się na ulicy.

– A jak to wpłynie na inne dzieci? – Bob spojrzał uważnie na ojca.

– Na razie nie ma obaw. Teller trzyma się z boku. Musimy mu pomóc; powinien dołączyć do reszty dzieci.

– Jak chcesz to zrobić? – Bob zapytał wprost.

– Zagra w przedstawieniu... z tobą – odpowiedział Salty bez wahania.

Bob zaczął już kiwać potakująco głową, gdy nagle zrozumiał:

– Zaplanowałeś wszystko z góry.

– Tak. Dobrze działasz na ludzi w kłopotach.

Bob nie był zachwycony tym, co usłyszał.

– Czy dlatego spotkałem dziś Jo? Ustawiłeś ją na mojej drodze, żeby zbawić nas oboje?

Ojciec wyglądał na tak zdumionego, że Bob przez chwilę wątpił w prawidłowość swego rozumowania. Mój Boże, pomyślał, czyżby on mógł być tak świetnym aktorem?

– Jesteś jedyną osobą, którą dzieciak stara się naśladować – zaczął wyjaśniać Salty. – Gdybyś zagrał tate, on mógłby być reniferem...

– Gdybym zagrał tate – Bob przerwał brutalnie wywody ojca – musiałbym pocałować mamę na dobranoc.

Twarz Salty'ego pozostała nieruchoma. Zdradził go tylko wesoły błysk w oczach. Rozwahał propozycję.

– Być może. – Po chwili dodał: – To mógłby być dobry kawał teatru.

– Upewnij się, że scenariusz przedstawienia to przewiduje. Jeśli nie, odchodzę.

– Twarz Boba pozostała nieruchoma.

– W Bostonie zajmowałeś się negocjacjami handlowymi? – zainteresował się ojciec.

– Nie.

– Szkoda. Widać, że potrafisz to robić. No cóż, chyba można wprowadzić taką zmianę.

– Nie zdradz tego zbyt wcześnie Jo.

– No proszę!

– Co to ma oznaczać?

– Ten głupi facet, którego córka od ciebie odeszła. Jak mu idą interesy?

Bob wprawdzie nadal poczuwał się do lojalności wobec firmy, nie mógł jednak kłamać.

– Nie najlepiej.

– Dobrze, że stamtąd uciekłeś.

Bob poczuł, że te słowa wypowiedziane szorstkim głosem działają na niego kojąco. Kiedy wreszcie będzie mógł opowiedzieć o wszystkim ojcu? O tym, jak brał w czymś udział i jak nagle stwierdził, że jest sam, opuszczony. Jak mógł być tak ślepy, tak głupi?

– Bob... myślałeś teraz o czymś. Nie chciałbyś o tym porozmawiać?

Pokręcił głową, nie podnosząc wzroku.

Salty przez chwilę milczał, a potem zmienił temat:

– Umyłem rano podwójne okna. Dzieciaki pomogą je zamocować, gdy wrócą ze szkoły.

– Dobrze.

– Poza tym, rano wszyscy się spieszyli i nikt nie przyniósł jajek. Mógłbyś to zrobić?

– Bob westchnął. Ciągle te cholerne jajka. Kury znosiły je Bóg wie gdzie, bo Felicja nie zgadzała się na żadne ogrodzenie. Wszystkie stworzenia musiały być wolne.

– Pójdę poszukać tych jajek. Dzięki za zupę, była świetna.

– Nie musisz zostawiać napiwku. Wyjdź frontowymi drzwiami i sprawdź koło traktora. Rano słyszałem tam jakieś gdakanie.

Bob posłusznie wyszedł na ganek i zobaczył nadchodzącą Jo. W grubym płaszczu i okularach wyglądała trochę jak żuk. Czy ojciec zauważył ją przez okno?

No cóż, jeśli znajdę koło traktora jajko, uznam, że jest niewinny, pomyślał. Na widok Boba Jo zawahała się. Przystanął i czekał.

– Cześć, Jo – rzucił, gdy podeszła bliżej.

Przez chwilę nie odpowiadała. Potem wyraziła zdziwienie:

– Dlaczego nie poszedłeś do baru Joego razem z innymi mężczyznami?

– Musiałem wrócić do domu, żeby poszukać jajek. Nie wierzysz?

– Nie.

– Więc chodź i popatrz. – Sama zastawiła na siebie pułapkę. Skoro mu nie dowierzała, musiała teraz pozwolić, żeby udowodnił prawdziwość swych słów. A jeśli tak, to już ją ma.

– Nadal nie macie kurnika?

– Wiesz przecież, że Felicja wierzy w wolność. Kury znoszą jajka, gdzie chcą.

Bob poszedł w kierunku traktora, a Jo ruszyła za nim z widocznym ociąganiem. W sianie suszącym się pod osłoną traktora Bob dostrzegł starannie wykonane wgłębienie, a w nim jajko. Pomyślał ciepło o ojcu, który prowadząc swą grę nie zapominał o żadnym szczególe. Pokazał znalezisko Jo.

– Jajko Brownów. To znaczy najlepsze – oświadczył chełpliwie i ruszył do stodoły, która o tej porze roku stanowiła kolejny, logiczny cel poszukiwań. Pogratulował sobie w duchu; na pewno uzyska pocałunek.

– Jak myślisz, gdzie warto szukać? – zapytał.

– W kątach?

Czy odważy się zwabić ją na stryszek? Nie. Jeszcze nie teraz.

– Płacę za każde znalezione przez ciebie jajko.

– Czym?

– Zobaczysz. – Uśmiechnął się.

Obserwował jej reakcję. Zrobiła krok w stronę wyjścia, jednak została. To go zdziwiło. Właściwie zdziwiło go już to, że w ogóle tu przyszła. Czyżby wyglądał aż tak niegroźnie?

Znaleźli tak dużo jajek, że Bob musiał przynieść koszyk. Jo pracowicie mościła go trawą, żeby jajka nie popękały. Prawie tuzin, jedno zbyt ciężkie, chyba zepsute.

– Zanieś je oddzielnie, a ja wezmę koszyk – zaproponował Bob. – Nie możemy dopuścić, żeby Salty zasmrodził kuchnię zgniłym jajkiem!

– Ja wezmę koszyk, a ty to jajko.

Bob przystąpił do ataku:

– Nigdy nie widziałem takich dużych okularów.

Wyglądasz jak żuk.

- Dziękuję za komplement. Bob wybuchnął śmiechem.
- W tych okolicach mówi się czasem: ładny jak żuk.
- Nigdy nie zachwycalam się żukami.
- Powinnaś zobaczyć siebie, ale lepiej zdejmij te okulary. Wyglądasz w nich, jakbyś miała lekkiego zeza.
- Odsuń się. – Zmarszczyła brwi.
- Nie mogę.
- Przyciskasz mnie do ściany. Odsuń się – powtórzyła.
- Jak mogło do tego dojść? – Bob udał zdziwienie. – Pozwól się lekko pocałować, a w nagrodę zaniosę to zgniłe jajko.
- Odsuń się albo zaniesiesz je rozbite na głowie.
- Niezła odpowiedź. – Uśmiechnął się. Niechętnie postąpił krok do tyłu i uwolnił dziewczynę.
- Czy to już wszystkie? – zapytała, wskazując koszyk.
- Nie sprawdziliśmy na stryszku.
- Poczekam na dole – odparła spokojnie.
- Niechętnie wszedł po drabinie i rozejrzał się. Znalazł jajko.
- Nie do wiary! – krzyknął. – Jedna wlaźła aż tutaj.
- Tylko jedna?
- Aha. W każdym razie więcej nie widać. Chyba one same nie pamiętają, gdzie je złożyły.
- Zszedł na dół i dołożył jajko do pozostałych. Uśmiechnął się.
- Jakie to miłe. Ostatnio szukałem jajek na Wielkanoc. Miałem wtedy osiem lat. – Dodał: – Odwiedzaj nas czasem. Salty i Felicja bardzo się ucieszą.
- Dlaczego mówisz do nich po imieniu?
- Wszyscy tak robią, dzieci, które tu mieszkają... To się udziela.
- Oni są niezwykli. Masz szczęście.
- Tak, choć czasem mogą trochę irytować. No i bywają zbyt teatralni.
- Są wspaniali. Chciałabym reżyserować sztuki Alfreda Lunta i Lynn Fontannę z nimi w obsadzie. Nawet głos Salty'ego świetnie by się nadawał. To doskonali aktorzy.
- Uważasz Salty'ego za aktora? – Skąd ona wie? Ja sam dopiero teraz to odkryłem, pomyślał.
- A kto by temu zaprzeczył? – zdziwiła się. Ja, pomyślał, i powiedział:
- Zgodziłem się zagrać tatę.
- Obrzuciła go uważnym spojrzeniem, jednak milczała.

– Musimy poćwiczyć – zauważył.

– Co poćwiczyć? Przecież nie mamy jeszcze napisanego dialogu. Ja będę leżała w łóżku, a ty pokręcisz się po domu. Musisz tylko słuchać narratora.

– Muszę poćwiczyć... wchodzenie do łóżka.

Pokiwała z politowaniem głową, ale uśmiechnęła się nieznacznie.

Wyszła ze stodoły, zabierając koszyk z jajkami. Bob ruszył niechętnie za nią, ze zgniłym jajem w ręku.

Salty ucieszył się na widok jajek. Znaleźli jeszcze jedno podejrzone i starannie zakopali oba w ogródku.

Dołączyła do nich Felicja. Usiedli i zaczęli rozmawiać. Wkrótce ktoś wspomniał o przedstawieniu. Bob wykorzystał to, żeby oświadczyć:

– Mamo, zagram w tej sztuce.

Felicja dramatycznym ruchem chwyciła się za gardło i wykrzyknęła:

– Och, drogi chłopcze, dlaczego nie zgodziłeś się wcześniej?

– Co masz na myśli? – zapytał ostrożnie Bob.

Felicja drżącym głosem przekazała straszliwą wiadomość:

– Namówiłam już Portera, żeby objął tę rolę.

– Portera?

Felicja sięgnęła do dolnych rejestrów imponującej skali głosu, żeby potwierdzić.

– Portera.

– Publiczność będzie tak zaskoczona, że nie oderwie od niego wzroku – zaprotestował Bob. – Będą szeptali: „Czyż to naprawdę Porter? W świątecznym przedstawieniu? Nie do wiary!”. Poza tym niczego nie zauważą. Zniszczysz przedstawienie.

– Ale, kochanie – sprzeciwiła się Felicja. – Wmówiłam mu, że on sam tego chce! Jak mogłabym teraz go odsunąć?

– Ja to zrobię – oświadczył Bob.

– Nie sądzę, żebyś umiał postępować wystarczająco taktownie. Porter jest bardzo wrażliwy...

Bob zachnął się.

– Porter jest tak duży, że wygnie łóżko swoim ciężarem, a ja się na niego wtoczę – wyraziła zaniepokojenie Jo.

Bob zdrętwiał. Oczyma wyobraźni widział już ją na Porterze. Oświadczył stanowczo:

– Porter nie nadaje się do tej roli i ja go o tym przekonam.

Felicja i Salty wymienili ukradkiem porozumiewawcze spojrzenie.

– Jesteś pewien, że ci się to uda? – zapytała Jo.

– I sam zagrasz tatę?

Bob westchnął.

– Jeśli Porter zagra, zepsuje przedstawienie, które jest bardzo ważne dla wielu dzieciaków. – Spojrzał na ojca, żeby przypomnieć mu o Tellerze.

Salty zrozumiał i powiedział ochryłym głosem:

– Dzięki, synu, postaraj się przekonać Portera.

Dziwię się, Felicjo, że nie powiedziałaś mi wcześniej o Porterze.

Felicja uniosła ręce w obronnym geście.

– Byłam zdesperowana. Spotkałam go w mieście, uznałam, że się nadaje i poprosiłam go. A Porter był tak miły, że się zgodził! Byłoby wstyd teraz go zniechęcać.

– W rewanżu zrobię mu za darmo przegląd samochodu – oświadczył Bob twardo.

– Ale ja już mu powiedziałam, że całe miasteczko będzie mu wdzięczne.

– Damy Porterowi odznakę – postanowił Bob.

– Za co? – zapytał Salty.

Nikt z obecnych nie znalazł odpowiedzi na to pytanie.

Bobowi udało się dwukrotnie „przypadkowo” spotkać Jo jeszcze przed rozpoczęciem prób. Za pierwszym razem sprzątała swój mały domek. Była spocona, czerwona na twarzy i potargana. Bob uśmiechnął się.

– Przpracowałaś się, Jo. Rzuciła mu wrogie spojrzenie.

– Doprawdy? Dziwne, że mnie poznałeś!

– To twój dom, ty otworzyłaś drzwi.

– No to co? Może tylko tu sprzątam.

Włożył ręce do kieszeni sztruksowych spodni. Poprawił się:

– Witaj, o nieznajoma! Jesteś nowa w miasteczku?

– Przestań, pani Thomas gapi się na nas przez okno!

– Wietrzy jakiś skandal? Co cię tak poczochrąło?

Jo wzięła głęboki oddech, co sprawiło, że Bob zwrócił uwagę na jej piersi i boleśnie westchnął.

– Wszyscy mężczyźni w miasteczku chcą zwrócić na siebie moją uwagę. Muszę walczyć o to, by trzymali się na dystans.

– Wierzę ci. Zmarszczyła brwi i zapytała:

– W co wierzysz? W ich starania czy w moją walkę?

– W jedno i drugie.

– To mógłby być komplement, jednak musisz wiedzieć, że po prostu sprzątam. Już za miesiąc wszyscy zjadą się na Święto Dziękczynienia, a mama lubi wszędzie zaglądać i sprawdzać, czy jest czysto.

– Mógłbym ci pomóc.

– Jak miło, że oferujesz pomoc, gdy już prawie skończyłam.

Przygryzł wargi, jednak wesołe ogniki w jego oczach nie zgasły.

Jo zauważyła to. Potem uciekła wzrokiem.

– Teraz pani Thomas telefonuje do pani Walton. Po co przyszedłeś?

– Przyniosłem egzemplarz scenariusza. Poza tym chciałbym trochę popróbować.

– Ach, tak. – Spojrzała na niego nieufnie.

Wyjął scenariusz z tylnej kieszeni i przerzucił kilka kartek.

– O, tutaj! – Niemal wepchnął ją do środka, do kuchni i zamknął za sobą drzwi.

– Gdy kurtyna pójdzie w górę – tłumaczyła mu – cierpliwie – będę w łóżku. Będę prawie przez cały czas spała.

– Jaką gażę zainkasujesz za to śpiące przedstawienie?

– Nikt nie dostanie żadnych pieniędzy. To świąteczny podarunek dla miasteczka. Po spektaklu będziemy wspólnie z publicznością śpiewać kolędy.

– No cóż. – Niezgrabnie wykonał dwa czy trzy kroki. – Jako tata muszę obejść dom, a potem pójść do łóżka z „moją żoną”. Powinniśmy to przećwiczyć. – Obrzucił dziewczynę powłóczystym spojrzeniem, które miało też sygnalizować troskę o poziom przedstawienia. – Chodzi o sztukę – dodał.

– Bardzo sprytnie. – Skrzyżowała ręce na piersiach.

– Wszyscy wielcy aktorzy korzystają z każdej okazji rozwijania swego talentu.

– Dobrze, że nie powiedziałaś: „doskonalenia swego rzemiosła”.

– Wiesz, że od dziecka obserwowałem Felicję. Teraz chciałbym nauczyć się czegoś od niej i jej męża, który jest moim ojcem. Mam w sobie także jego geny.

– To straszne.

Zagryzł wargę, żeby skryć wilczy uśmiech, jednak zdradzały go wesołe ogniki igrające w oczach. Zatarł ręce i powiedział:

– Robi się naprawdę zimno. Masz kawę? Moglibyśmy wypić po filiżance zanim... zaczniemy ćwiczyć.

– Wszystko wyszorowałam. Nawet dzbanek.

Powędrował spojrzeniem od rozrzuconych w nieładzie włosów do koszulki,

która przylegała do spoconego ciała, niczego właściwie nie kryjąc.

– A może chciałabyś przedtem wziąć prysznic?

– Nie sądzę, żebyśmy musieli ćwiczyć.

– Ach, rzeczywiście! – Pacnął dłonią w czoło. – Przecież ty... jesteś reżyserem?

– Tak i uważam, że nie będę miała żadnych problemów z tą rolą.

– A co zrobisz, jeśli zedrę z ciebie kołdrę, poklepię cię po pupie i powiem:
„Żono, a może tak byśmy... ”

Zaczerwieniła się.

Wybuchnął teatralnie lubieżnym śmiechem.

– Muszę dokładnie wiedzieć, jak mam to zrobić.

– Zrobić co? – zapytała zimno.

Myślał tylko o Jo, nie o słowach, które wypowiadał.

– Moja żona spała w oddzielnym pokoju. Wchodziłem do jej łóżka tylko wtedy, gdy tego chciała.

W jaki sposób mężczyzna, który zawsze śpi z żoną, wchodzi do łóżka? To ważny szczegół, który może na scenie charakteryzować przedstawianą rodzinę.

Znów przygryzł wargę i dodał poważnym tonem:

– Czy uważa, żeby jej nie obudzić? Czy dba o to, żeby nie spadła z niej kołdra? Czy zachowują się wobec siebie przyjacielsko, a może wrogo?

Te słowa sprawiły, że spoważniała. Utkwiła wzrok w podłodze, pomyślała, co się za nimi kryje. Potem odpowiedziała:

– Za niecałą godzinę muszę być w szkole. Porozmawiamy o tym wszystkim, gdy zaczną się próby.

Twoje spostrzeżenia są bardzo trafne.

To go zaskoczyło. Chciał przecież tylko sprawdzić, co ona robi, jak zareaguje na prowokację. Zrozumiał, o czym niechcący jej opowiedział. Teraz on także spoważniał. Wiedziała już, że jego małżeństwo było gorzkim doświadczeniem. Zaczerwienił się nieco, świadom tego, jak bardzo obnażył przed Jo swoje uczucia. Nie patrzył jej w oczy.

– Do zobaczenia na próbie.

– Wiesz, że się ciebie boję? – zapytał i wyszedł. Zszedł po schodkach z ganku na tyłach domu, pomachał ręką w kierunku okna pani Thomas i włożył ręce do kieszeni. Potem skulił się z zimna mimo grubego swetra i wsiadł do samochodu. Odjechał, myśląc o tym, że zdarłby chętnie wilgotne ubranie ze spoconego ciała Jo i sprawił, by zrobiło się jej naprawdę gorąco.

Rozdział 4

Bob, prowadząc samochód, coraz bardziej ubolewał nad swym gadulstwem. Zdradził Jo, że żona nie wpuszczała go do łóżka. Do czegoś takiego mężczyzna nie lubi się przyznawać. Co gorsza, powiedział jej, że jego małżeństwo było katastrofą.

Nagle zobaczył coś w lusterku. Zwolnił, odwrócił głowę i dostrzegł postać, która skryła się szybko za rogiem ulicy. Bob zawrócił, skręcił i jadąc powoli zaczął się uważnie rozglądać. Wreszcie dostrzegł Teller, który na jego widok rzucił się do ucieczki. Podjechał bliżej, zatrzymał samochód i krzyknął:

– Wracaj! Salty tu jedzie. Jeśli wsiądziesz i schylisz się, może cię nie zobaczy!

Teller zawahał się, rozejrzał. Stwierdził, że nie ucieknie i podszedł do samochodu od strony kierowcy.

– Ja poprowadzę – oświadczył. To była próba. Bob otworzył prawe drzwiczki.

– Wsiadaj.

Teller obszedł pojazd, jakby byli starymi przyjaciółmi, którzy przybyli na umówione spotkanie.

– Dlaczego jedziesz samochodem? – zapytał. – Nikt z miasteczka nie używa samochodu przy takiej pogodzie.

– Szukałem ciebie – skłamał Bob. – Dlaczego nie jesteś w szkole?

Teller westchnął.

– Same nudy, które zabierają dużo czasu. Po co mi to?

– Tak uważasz?

– Nie widzę żadnego powodu, żeby chodzić do szkoły. Podobno w tym kraju ludzie mogą robić co chcą, a ja nie chcę być w szkole.

– Może by cię tam czegoś nauczyle?

Zapadła cisza. Przerwał ją Teller:

– A czego mnie nauczyle do tej pory? – zapytał retorycznie.

– Tego, że to wolny kraj.

– Aha. Więc nie muszę chodzić...

– Musisz. Będziesz wolny, gdy tylko skończysz szkołę średnią.

– To znaczy... – Teller policzył na palcach i zaprotestował: – Dopiero za siedem lat!

– Dobrze, że chociaż umiesz liczyć. Co jeszcze umiesz?

– Jak mam chodzić do szkoły, to stąd znikam.

– Jak tam z czytaniem?

– Głupota.

– Czy ktoś to kiedyś sprawdzał? Pojedziemy do szkoły i dowiemy się, jak ci idzie.

– Nie rób mi tego.

– Czy ty w ogóle wiesz, co zrobił Salty, kiedy byłem w twoim wieku i chodziłem na wagary? – zapytał poważnie Bob.

– Nie wiem – odpowiedział Teller. Był wyraźnie zaciekawiony.

Bob zerknął na niego z ukosa i rzucił:

– Nie chcesz wiedzieć?

– Powiedz mi.

– Nie mógłbyś zjeść obiadu.

– Poważnie?

– A dlaczego miałbym kłamać?

– Wszyscy kłamią.

– Mały cynik.

– Co to jest... cynik?

– Sprawdź sobie w encyklopedii.

Przed szkołą Bob chwycił Tellera za ramię, gdyż ten zaczął uciekać, zanim jeszcze samochód na dobre stanął. Bob musiał wysiąść prawymi drzwiczkami, żeby nie puścić chłopaka i nie pozwolić mu uciec. Przypominało to sposób, w jaki Salty wprowadzał chłopca do kościoła. Weszli do budynku szkoły. Wtedy Teller się poddał.

– No dobra, puść mnie.

– Przyszekasz, że nie uciekniesz?

– Aha. Zostaw mnie tutaj.

– Zabiorę cię do domu.

– I powiesz Salty'emu, że byłem na wagarach?

– Nie.

– Więc już wracajmy.

– Muszę się najpierw czegoś dowiedzieć.

– Nie byłem tu od tygodnia. Teraz już wiesz. O to ci chodziło, prawda?

– Nie, nie o to. Chodź ze mną. Chciałbym, żebyś usiadł spokojnie i zachowywał się przyzwoicie. Jeśli nie, to zobaczysz, czego nauczyłem się od Salty'ego.

– Na razie widzę, że chodzisz po świecie i klepiesz kobiety po tyłkach.

– Wiesz dobrze, że wtedy chodziło o ciebie.

– Uderz ją jeszcze raz, a wybiję ci zęby.

- Nie musisz. Było mi wtedy cholernie głupio.
- Więc pomyślmy teraz o biciu mnie. Nie pozwolę...
- Wystarczy, że będziesz robił to, co powinienes.

Czy wiesz, że kiedy uruchomiłeś wtedy silnik, mogłeś mnie zabić? – Specjalnie wyolbrzymał winę chłopaka. – Gdyby tak się stało, trafiłbyś do więzienia. Może nie podoba ci się szkoła, ale to betka w porównaniu z więzieniem.

Chłopak nie odpowiedział.

W sekretariacie szkoły okazało się, że Teller ma niebotyczne zaległości.

– I jestem tępy! – wykrzyknął chłopak. Wstał z wściekłym wyrazem twarzy i zaciśniętymi pięściami.

– Nie – sprostowała spokojnie pani Staffer.

Bob chwycił Tellera za ramię.

– Siadaj. Przynależ. Poza tym nikt nie twierdzi, że jesteś tępy.

– Dzieciaki tak mówią.

– To dlatego, że nie miały czasu cię poznać.

Teller opadł na krzesło, jednak był bliski łez.

– To prawda – potwierdziła pani Staffer. – Zbyt często przenosiłeś się z miejsca na miejsce i nikt nie miał czasu, żeby ci pomóc. Teraz pani Malone chciałyby się tobą zaopiekować.

Teller na dźwięk nazwiska Jo wziął głęboki oddech.

– Obejrzała wczoraj twoje akta – kontynuowała pani Staffer. – Powiedziała, że problemy, z jakimi się borykasz, nie są trudne do rozwiązania.

– Co to znaczy? – zapytał piskliwie Teller.

– Chodzi tylko o to, żebyś poznał podstawy fonetyki i arytmetyki. Pani Malone ci pomoże. Wystarczy trochę cierpliwości.

Bob pomyślał o uczuciach, jakie Teller żywił wobec Jo. Wspólna nauka nie była w tej sytuacji najlepszym pomysłem.

– Czy ktoś inny nie mógłby go uczyć?

– Salty.

– Czy on o tym wie? – Teller wskazał dokumenty leżące na biurku pani Staffer.

– Oczywiście. To on poprosił o nadesłanie twoich papierów. Wczoraj Salty przegłądał je razem z panią Malone.

– A więc... ona wie – stwierdził ponuro.

– Nie ma w tym nic złego. – Pani Staffer nachyliła się w kierunku chłopca. – Wszyscy mają jakieś problemy. Mnie na przykład nie szła matematyka. Do tej pory uważam, że ułamki są głupie. – Uśmiechnęła się. – Ale jakoś się nauczyłam,

choć... teraz też często mi się mylą.

Teller spojrzał ze zdumieniem na Boba, a ten uśmiechnął się i zaproponował:

– Kiedy nauczysz się czytania i arytmetyki tak, że to wystarczy Salty'emu, powiem ci, jaki ja miałem problem.

Widać było, że Teller zaczyna myśleć. Gdy pani Staffer zapytała, czy chciałby zacząć już dziś, z panią Malone, nie odrywając wzroku od Boba powiedział, że się zgadza.

Przez całe popołudnie Bob wydzwaniał do znajomych i prosił ich, żeby nie zdradzili Tellerowi natury jego kłopotów z nauką. Zapomniał tylko powiedzieć o tym Jo Malone.

– No i jak, w porządku? – zapytał Bob, gdy Teller wrócił po południu do domu.

– Ofsem – wyseplenił chłopak.

– Kto ci o tym powiedział? – zapytał poważnie Bob.

– Pani Malone. Powiedziała, że miałeś kłopoty s fymofą.

– To nie jest zabawne. Nie pozwalałam ci mnie przedrzeźniać. Wiesz, wtedy, gdy sepleniłem, to było jak zachęta do przedrzeźniania.

Teller nie odpowiedział.

– Musiałem jakby od nowa nauczyć się mówić.

I zrobiłem to.

Teller spojrzał na Boba i odszedł.

Bob poszedł do Jo. Spacer w zimnym powietrzu pomógł mu ochłonąć po rozmowie z chłopcem. Zapukał. Jo otworzyła drzwi i powitała go słowami:

– Pani Thomas ostrzegła, żeby trzymać się od ciebie z daleka i że jesteś niebezpieczny.

– Zwłaszcza teraz. – Tak?

– Powiedziałaś Tellerowi, że sepleniłem.

– Tak – przyznała. – On cię podziwia. Przedtem tylko Salty mógł sprowadzić Tellera do szkoły, a teraz udało się to tobie. Gdy przyszedłam do szkoły, chłopak zapytał, jakie miałeś kłopoty, a pani Staffer poinformowała mnie o waszej umowie.

– A więc świadomie ułatwiłaś mu zadanie.

– Nie. Pracowaliśmy dziś bardzo ciężko. Teller uczył się chętnie. Powiedziałam mu, że na szczęście, że ty musiałeś długo pracować, żeby osiągnąć to, co jemu przychodzi bez wysiłku.

– Wymknęło ci się to niechcący?

– Nie. Chciałam, żeby on wiedział, jak ciężko ty musiałeś pracować. Powinieneś być z siebie dumny. Na Tellerze zrobiło to wrażenie.

– Nie na długo. Wyśmiewał się ze mnie.

– Pamiętaj, że z niego ciągle się wyśmiewają. Cierpliwości. On cię podziwia.

– Może – rzucił sceptycznie Bob – ale w każdym razie naraziłaś mnie na jego kpiny.

– Chciałam mu pokazać, jak można sobie radzić z różnymi problemami. Tobie się udało, a to może być dla niego wzorem.

– Bob westchnął.

– Trudno, jeszcze trochę muszę wytrzymać. Nie zabawię tu długo.

– Dokąd się wybierasz? Nie zostaniesz tutaj?

– Do diabła, nie. Pracowałem ciężko, żeby wydostać się z tego wścibskiego, małego miasteczka.

– Więc... nie chcesz tu zostać i pójść ze mną do łóżka? Drgnął.

– Oczywiście tylko w spektaklu.

– Wiedźma! – wykrzyknął.

– Muszę cię przeprosić – powiedziała. – Pójdę się przebrać przed przyjęciem.

– Jakim przyjęciem? – zapytał niechętnie.

– U pani Carstairs – odparła. – Nie wybierasz się tam? Wszyscy są zaproszeni.

– Do pani Carstairs?

– Obchodzi pierwsze sto kilometrów przebiegu.

– Spojrzała na ściągniętą zdziwieniem twarz Boba.

– Nowego samochodu – wyjaśniła. – Czerwonego.

– Przejechała tylko sto kilometrów?

– To chyba dlatego, że nosi ten samochód na plecach, żeby się nie zabrudził.

– Wpadnę po ciebie. Nie lubię chodzić sam na przyjęcia. Dzisiaj przypomniałem wszystkim, że seplenilem; na pewno u pani Carstairs ktoś będzie mnie przedrzeźniał. Jeśli nikogo nie uderzę, pocałujesz mnie w nagrodę. To co, mogę po ciebie przyjechać?

– Dobrze, ale pospiesz się. Jestem głodna.

– Obawiam się, że przyjęcie będzie ograniczone do napojów.

– Tak, ale potem zabierzesz mnie na kolację.

Gdy Bob przebrał się w domu i wrócił po Jo, spojrzał na nią krytycznie.

– Nie zdążyłaś się ubrać? – zapytał.

– Jak to, przecież...

– A co z górą do tej spódnicy? Zmarszczyła brwi i oświadczyła:

– Jestem absolutnie przyzwoita.

– Ty może tak, ale nie ta sukienka. Przebierz się, mamy jeszcze czas.

– Nie ma mowy.

– No cóż... – westchnął. – Spróbuję jakoś się opanować.

Na przyjęciu zdumiewająco dużo gości miało kłopoty z wyraźnym wypowiedaniem słów. Bob uśmiechał się tylko i nie reagował.

Felicja zorientowała się w sytuacji. Natychmiast zaczęła wypytywać najwytrwalszych prześladowców syna o szczegóły dotyczące wszystkich gaf, jakie kiedyś popełnili.

– Daj spokój, mamó – poprosił Bob. – Jestem już dużym chłopcem i sam sobie poradzę.

– My, Brownowie, zawsze trzymamy się razem – zaprotestowała. – Pamiętam, jak się oburzyłeś, kiedy ten typ z Cleveland nie zachwyił się mną w recenzji z „Antoniusza i Kleopatry”.

– Bo nie miał racji. Byłaś wspaniała.

– Tak – przyznała. – Pamiętaj, że ty też jesteś wspaniały. Nie pozwól, żeby oni zepsuli ci humor.

– Nie zepsują – odparł i zorientował się, że mówi prawdę. Docinki przestały mu przeszkadzać. Przeszedł w życiu tyle, że już nie przejmował się drobiazgami.

Wyruszył na poszukiwanie Jo. Odnalazł ją otoczoną wianuszkami mężczyzn. Dopiero to naprawdę go zirytowało. Jednak widząc, że Bob jest w pobliżu, przeprosiła rozmówców i poszła do kuchni. Bob ruszył za nią.

– Na razie nikt mnie nie zaatakował – poinformowała go.

– Spodziewałaś się jakiegoś ataku? – zmarszczył brwi.

– To ty sugerowałaś, że coś takiego nastąpi – wyjaśniła, nakładając na półmisek sałatkę. Bob zorientował się, że pomagała pani Carstairs.

– Nie pochylaj się – poprosił.

– Dlaczego?

– Gdybyś musiała podnieść coś z podłogi albo sięgnąć daleko ręką, powiedz, a zrobię to za ciebie.

Pochyliła się na próbę. Sukienka pozostała na swoim miejscu.

– Przecież nie odstaje...

– Wyciągnij przed siebie ręce, jakbyś miała postawić talerz na stole – poprosił.

Zrobiła to, a sukienka odchyliła się od ciała. Bob nerwowo wciągnął powietrze.

– Jesteś specjalistą w dziedzinie dekoltów? – rzuciła domyślnie.

– Przeprowadziłem studium.

– Tak, nietrudno uwierzyć. Po co?

– Może chciałem móc ostrzegać kobiety?

– Cóż za szlachetność!

Przyjrzał się szklance, którą trzymał.

– Dobrze, że zdajesz sobie z tego sprawę. Mogłabyś przecież zrozumieć opacznie moje intencje.

Roześmiała się.

Do kuchni wpadła pani Carstairs.

– Bob! – wykrzyknęła. – Nie masz pojęcia, jak cieszę się z tego samochodu! Lubię nim jeździć.

Dziękuję, że go dla mnie znalazłeś. Co zrobiłeś ze starym? – dodała z wahaniem w głosie. – Czy mogę wiedzieć...

– O zachodzie słońca poszedł do motoryzacyjnego nieba.

– To cudownie, będę o tym pamiętała. Pomożesz nam to zanieść?

Bob wniósł dwa półmiski do jadalni. Spojrzał na Jo, która trzymała dwa talerze. Postawiła je na stole, uginając lekko kolana, tak że sukienka pozostała na miejscu. Uśmiechnął się do dziewczyny, a ona mrugnęła porozumiewawczo.

Gdy pojechali na kolację do pizzerii, byli już lekko podchmieleni. Jo zapytała, czy zebrał tego dnia jajka.

– Nie. Zrobię to jutro. Może wpadniesz, żeby mi pomóc?

– Musisz wykonywać te wszystkie prace domowe?

– Dopóki tu mieszkam, muszę w nich uczestniczyć. Wszyscy muszą.

– Dopóki... Dokąd chcesz wyjechać?

– Restrukturyzuję swoje cele i redefiniuję potrzeby.

– Chcesz zostać włóczęgą?

– Myślałem o tym, żeby zostać leśnikiem.

– Żartujesz?

– Nie, pomyśl choćby o wypalaniu lasów w Ameryce Południowej. Chciałbym zasadzić trochę drzew.

– Możesz to zrobić tutaj.

– Nie mam ziemi. Tu, w okolicy, nie można kupić takiej, o jaką mi chodzi.

– Ja mam. Chciałbyś posadzić na niej drzewa?

– Co to za ziemia?

– Pamiętasz panią Ahern? Często szukałyśmy razem kamieni do kolekcji. Odziedziczyła ziemię po ojcu. Gdy zmarła, okazało się, że zapisała ją mnie.

– Co tam teraz rośnie?

– Niewiele. Trochę chwastów, mizerne drzewka... jest też bagniste jeziorko. Nie ma żadnego budynku.

– Nawet szopy?

– Nawet. Chodziłyśmy tam zbierać kamienie, oglądać dzikie kwiaty i zioła. Wspaniałe czasy. Pani Ahern знаła nazwy wszystkich roślin.

– Była botanikiem?

– Nie wiem. Przecież gdyby zmyślała i tak nie mogłabym się zorientować. Uśmiechnął się i powiedział:

– Myślałem dziś o tobie. Zajmujesz się i teatrem, i nauczaniem...

– Tak. Ukończyłam prawie jednocześnie dwa kierunki: nauczycielski i aktorski. Studiowałam o rok dłużej. Wiedziałam, że tu wrócę i że w miasteczku działa dobry teatr. Chciałam brać w tym udział. Interesują mnie ludzie, problemy porozumiewania się. Zauważyłeś, jak trudno jest przekazywać myśli, nawet wewnątrz tej samej grupy społecznej czy rasowej? A przecież ważne jest komunikowanie się z ludźmi innymi od nas, którzy używają innego języka. To zadziwiające, jak każda myśl może być błędnie zinterpretowana.

– Powinnaś zobaczyć, jak to wygląda na zebraniu zarządu. – Po chwili dodał: – Na zebraniu naprawdę swobodnym, a nie kontrolowanym przez jednego człowieka.

– Ty to widziałeś – domyśliła się. – Kontrolowane zebranie.

– Nie od razu.

– Co się wydarzyło? – zapytała i spojrzała na niego uważnie.

– Do firmy przyszedł nowy człowiek.

– To on przejął kontrolę? – Tak.

– Czy był rozsądny?

– Lekkomysłny.

– Dlaczego nikt go nie powstrzymał?

– On miał poparcie szefa. – Co więcej, miał jego córkę, dodał w myślach.

– I co dalej?

– Protestowałem i zostałem zwolniony. Spojrzała na niego z namysłem.

– Dobrze, że stamtąd uciekłeś.

Słowa Salty'ego. Bob uśmiechnął się ironicznie. Pokręcił ze smutkiem głową.

Po kolacji odwiózł Jo do domu. Wziął od niej klucz, otworzył drzwi i puścił ją przodem, mówiąc:

– Jesteś mi winna pocałunek.

– Za co?

– Nakarmiłem cię.

– Za to mogę ci zaśpiewać. Później. Teraz jestem zmęczona i chcę iść do łóżka.

– Świetnie – skomentował Bob. Uniosła brwi i spojrzała pytająco.

- Chodzi o przećwiczenie naszych ról.
- Głupi jesteś. Idź do domu.
- Muszę dostać pocałunek. – Patrzył na nią uważnie, trzeźwo.

Roześmiała się i zaczęła śpiewać.

Bob podszedł do dziewczyny, objął ją i pocałował. Zapadła cisza. Jo zeszywniała, jednak po chwili zatopiła dłonie w jego włosach i poddała się.

Bob objął ją mocniej; dopiero teraz pocałunek stał się naprawdę gorący.

Gdy Bob zaczął niemal dygotać, Jo rozluźniła się, jednak jej usta odpowiedziały żarliwie na namiętny napór jego ust.

Przerwał pocałunek i odchylił głowę, wpatrując się w osłupieniu w twarz dziewczyny. Nie rozluźnił uścisku, jednak jego spojrzenie niemal ją oskarżało.

Patrzył na jej przymknięte powieki, miękkie usta, których drobne ruchy tak go podniecały... Chciał znów ją całować, jednak przeważało surowe wychowanie. Rozluźnił uścisk, mimo iż cicho zaprotestowała.

Stopniowo odsuwał się, uspokajał ją. Wreszcie uzyskał półmetrowy dystans.

Ten pocałunek! Kiedy ostatnio całował kobietę? Rok temu? Dawniej. Patrzył zafascynowany, jak Jo walczy ze sobą, stara się uspokoić.

Zrobił to dla niej.

Jakim kosztem? Czy kiedykolwiek będzie mógł pozostać obojętny, wspominając to spotkanie? Co się, u diabła, stało? Dlaczego odczuwali pożądanie graniczące z obłędem?

Może całował ją zbyt długo? Chyba tak.

Stracił... całkowicie stracił panowanie nad sobą. Ale co stało się z nią? Jest młoda i wolna. Nie musiała aż tak się zatracić. Nawet nie próbowała stawiać oporu! Po prostu przylgnęła do niego całym ciałem i...

Bob wziął głęboki oddech. Zaczął krążyć po pokoju. Pocierał dłońmi pierś, starał się oddychać regularnie, uspokoić się.

Kłopot polegał na tym, że oczy przesłaniała mu mgła, a przez całe ciało przebiegały impulsy, przypominające porażenia prądem.

Niepewnie chwycił ręką framugę drzwi. Drugą rękę włożył niedbale do kieszeni. Nie mógł zrobić kroku, gdyż czuł, że zaraz upadnie. Pozostał przy drzwiach z bezpiecznie rozstawionymi nogami, z ręką na framudze.

Jo opierała się obiema dłońmi o kuchenny stół. Głowa opadła jej w dół; było jasne, że tylko ręce pozwalają jej nie upaść. Z wysiłkiem uniosła głowę i powiedziała nieswoim głosem:

- Powinieneś nosić jakiś znak ostrzegawczy.

To go prawie dobiło. Zadrzał. Dyszał ciężko. Miał wrażenie, że brakuje mu powietrza, że się dusi.

Już ta krótka próba wykazała, że jest wrażliwy na rude kobiety. Albo, co gorsza, na Josephine Malone.

Przecież nie po to walczył zazarcie, żeby wydostać się z małego, prowincjonalnego miasteczka, żeby teraz rudowłosa piękność usidliła go i przywiązała do Tempie do końca życia. Myśl o skutkach otrzeźwiła go. Otrzeźwiła? Przecież ona upiła go samym tylko pocałunkiem. Rozpoznał pułapkę. Nawet małe zwierzątka, gdy raz wpadną w pułapkę, bezbłędnie rozpoznają inne i już po raz drugi nie dają się złapać.

– Dziękuję za uroczy wieczór – wykrztusił i uśmiechnął się, żeby złagodzić brutalność tych słów. – Do zobaczenia na próbie.

Patrzyła, jak niepewnie zbliża się do drzwi wyjściowych, otwiera je i zamyka za sobą.

Dojechał do domu. Wysiadł z samochodu i okrążył cały teren Brownów, zanim uznał, że jest spokojny i będzie mógł zasnąć. Znalazł się o włos od katastrofy. Ledwie, ledwie udało mu się uciec.

Rozdział 5

W miasteczku tak małym jak Tempie, święto Halloween stanowiło prawdziwe wydarzenie. Większość mieszkańców przebrała się w kostiumy i wzięła udział w przygotowywanym od dawna nocnym pochodzie.

Bob niemal zapomniał, jak wyglądały takie zabawy. Teraz wspominał z nostalgią lata dzieciństwa. Pomagał w przygotowaniach, przypominając sobie dawne czasy, ludzi, którzy mieszkali kiedyś w Tempie...

Tym razem sama przyroda pomogła w dekorowaniu ulic; drzewa przybrały wszystkie olśniewające barwy jesieni. Ludzie także nie zawiedli: przyozdobili Tempie już dwa tygodnie wcześniej. Przygotowali słomiane strachy na wróble, maski z wydrążonych dyń.

Prawie wszyscy zabrali się energicznie do przygotowywania potraw. Pracowali ciężko, jednak przedświąteczna krzątania była właściwie tylko pretekstem. Chodziło o życie towarzyskie, o zacieśnienie przyjaźni i zabawę.

W całym tym rozgardiaszu Bob dość łatwo omijał pułapkę, jaką stanowiła Jo Malone.

Do miasteczka ściągali ludzie z całej okolicy. Sprzedawano dynie, szarlotkę i ciasteczka; dochód zasilał kasę miejskiego ośrodka, choć... nie mógł się równać z dochodem za płatne miejsca do parkowania.

Parada stanowiła gwóźdź programu. Ludzie uwielbiają parady. Przyjezdni uiszczali za uczestnictwo drobną opłatą.

Bob nie poszedł razem z ubranymi w śmieszne kostiumy członkami swojej rodziny. Stał z boku, wśród obserwującej widowisko grupy przyjezdnych. Patrzył na pochód, rozpoznawał dawnych znajomych. Wielu starych kumpli pozakładało rodziny; maszerowali teraz z żonami i dziećmi.

Całe rodziny poprzebierały się za szkielety, clowny czy duchy. Wszyscy bawili się świetnie.

Po przemarszu w ośrodku rozpoczęły się tańce. Bob poszedł tam, żeby „spotkać starych przyjaciół”. Właściwie rozmawiał już przedtem ze wszystkimi. Musiał przyznać w duchu, że chce zobaczyć Jo, a zwłaszcza sprawdzić, z kim przyszła, z kim będzie tańczyć...

Przybyła z bandą czarownic. Sama też przebrała się za wiedźmę. Strój odsłaniał tyle, że Bob przeżył prawdziwy wstrząs. Skonsternowany rzucił się, roztrzając po drodze ludzi, żeby okryć ją swoją koszulą. Z bliska stwierdził z ulgą, że Jo miała na

sobie obcisły kostium w kolorze skóry.

Skoro już do niej dotarł, musiał się odezwać. Przywitała go chłodno, a jakiś facet wziął ją za ramię i odciągnął od Boba.

Ten nie odrywał wzroku od dziewczyny. Chciał się przekonać, czy ten facet coś dla niej znaczy. Tańczyła z różnymi mężczyznami, lecz czując na sobie spojrzenie Boba, co jakiś czas zerknęła w jego kierunku.

Wkrótce wyszedł. Nie powinien wtrącać się do jej spraw. Musi wyjechać z Tempie i ułożyć sobie życie gdzie indziej. Nie może tu zostać i narażać się na pokusy związane z Josephine Malone. Mógłby zniszczyć jej życie, a przy okazji także swoje.

Szedł do domu, zdając sobie sprawę ze swej samotności. Zostawiał za sobą światła centrum miasteczka.

Ludzie śmiali się tam, weselili. Tylko on był sam. Westchnął. Życie nie potoczyło się tak, jak je sobie zaplanował. W wieku trzydziestu lat wrócił do punktu wyjścia.

Tak jest lepiej. Nie może dopuścić, żeby Jo tęskniła po jego wyjeździe. Ona jakoś sobie poradzi, choć w okolicy nie ma zbyt wielu kawalerów. Przypomniawszy sobie jednak tłumek mężczyzn otaczający grupę czarownic. To sprawiło, że zwolnił. Odwrócił się i spojrzał w kierunku miasta. Zapragnął wrócić i porwać dziewczynę w ramiona, jednak oparł się tej pokusie. Musi ją chronić przed sobą.

Następnego dnia mieszkańcy Tempie wyruszyli na cmentarze, żeby uporządkować groby. Wyrywali chwasty, kładli świeże kwiaty na mogiłach przyjaciół i krewnych. Rodzina Brownów wyruszyła na cmentarz w komplecie. Bob patrzył na groby swych przodków, którzy przeżyli tu złe i dobre chwile. Częściej dobre. Tempie jest jego domem, jego ojczyzną.

Po Zaduszkach Bobowi udawało się unikać Jo. Nie próbował już jej chronić; musiał sam strzec się przed nią. Uznał, że dziewczyna zagraża jego wolności, a wolność była wszystkim, co posiadał. Nigdy jej nie odda, nigdy nie powierzy kobiecie.

Na wszelki wypadek, już po przyjęciu u pani Carstairs, usunął pocałunek ze scenariusza przedstawienia. Zrobił to w ostatniej chwili. Przepisał właściwą stronę na maszynie, zrobił kserokopie i wymienił kartki we wszystkich egzemplarzach. Ani Salty, ani Felicja nie napomknęły o zmianie.

Bob wiedział, że ojciec ćwiczy z Tellerem jego rolę renifera-przodownika. Potem włączył do przedstawienia dwoje dalszych dzieci, a ta trójka nauczyła roli

pięcioro pozostałych, tak że cała ósemka wkrótce sprawowała się wysmienicie. Salty umiejętnie zintegrował tę grupę. Teller czuł się dobrze z pozostałymi reniferami, a te przyjęły go do swego grona.

– Świetnie załatwiłeś to dla Tellera – pochwalił ojca Bob.

Salty nie przyjął pochwały.

– To dobry chłopak. – Spojrzał na syna. – Kiedy coś mówisz, zawsze uważnie słucha.

– Ma nadzieję, że będę seplenił.

– A ja myślę, że podziwia cię za to, że tego nie robisz.

– Teller? Daj spokój. – Zmienił temat. – Kto zagra Świętego Mikołaja, ty?

– Chyba sobie kpisz! Z moim głosem? To tak, jakby Mikołaja grał Al Capone z cygarem w zębach.

Bob uśmiechnął się i odparł:

– Wspaniała myśl. Zamiast dzwoneczków przy saniach dzwoniłyby butelki whisky, zamiast dzieci wystąpiłyby zbiry, a zamiast myszy szczury.

– A kto w końcu zagra mamę i tatę? – zainteresował się Salty. – Mae West i W. C. Fields?

– Kto będzie Mikołajem? – powtórzył swe pytanie Bob.

– No cóż, uznaliśmy, że... Porter.

Odbyła się pierwsza próba czytana. Przebiegała dobrze. Oczy Tellera błyszczały; nie znikał w wolnych chwilach, gdy renifer nie był potrzebny.

Bob stwierdził, że ma kłopot. „Łóżko” okazało się wąziutkim stolikiem z dwiema ułożonymi ciasno poduszkami. Nie chciał położyć się przy Jo na czymś takim. Był zbyt świadom efektu, jaki może wyrzucić bliskość jej ciała.

Ponieważ wcześniej zadał to pytanie Jo, teraz musiał zapytać reżysera, Felicję, w jaki sposób ma wejść do łóżka?

Cały zespół wybuchnął śmiechem. Zwłaszcza dzieci. Przecież wszyscy wiedzą, jak wchodzi się do łóżka.

– Będiesz w koszuli nocnej, nie w piżamie – wyjaśniła Felicja. – Będziesz miał na głowie szlafmycę.

Sprawdzisz, czy dzieci śpią, czy nikt nie ruszył cukierków... Nie patrz na myszy. Myszy zobaczą cię, gdy będziesz koło nich przechodził. Jo wystąpi w staroświeckiej koszuli nocnej z kołnierzykiem i długimi rękawami, w koronkowym czepeczku. Zresztą... teraz tylko czytamy; wrócimy jeszcze do tej sprawy podczas prób sytuacyjnych. Odsuniesz pościel od strony widowni, usiądziesz na łóżku i nakryjesz nogi kołdrą. Potem położysz się, wsuwając dłoń pod policzek i

zamkniesz oczy. Spróbujmy.

Bob zbyt szybko przechodził obok dzieci i kominka. Felicja kazała mu zwolnić. Musiał powtórzyć wszystko sześciokrotnie, a potem... położyć się w łóżku.

Świadomość tego, że Jo leży obok na zbyt wąskim stoliku, głęboko nim wstrząsnęła.

Felicja z namysłem przyglądała się synowi. Potem stwierdziła łagodnie:

– Nie musimy wszyscy tu sterczeć. Ty trochę poćwicz. Zachowuj się tak, jakbyś był żonaty, jakby dzieci, dom, wszystko było twoje. Jo, pokieruj nim trochę.

Aktorzy zaczęli wychodzić.

– Zgaście potem światło – przypomniał Salty. Zostali sami.

Zapadła cisza. Jo leżała na ławie, Bob stał bezradnie w kręgu światła reflektora, wydobywającego jego rysy, stolik i Jo z mroku sugerującego noc. Spojrzał na dziewczynę i zapytał:

– Kto ci pozwolił włożyć ten kostium wiążemy?

Chciałaś się popisać?

Westchnęła niecierpliwie i spojrzała na niego z niesmakiem.

Bob podszedł do stolika i oparł dłonie na „swojej stronie łóżka”.

– Wiesz, co mi robisz, leżąc na tym na wznak?

– Jezu, tatusiu, panuj nad sobą. Obok są dzieci!

– Jak mam wejść do łóżka?

– Znowu o tym samym? Odrzuć kołdrę i usiądź, a potem się połóż. To nie jest zbyt skomplikowane.

Usiadł na stoliku przy jej głowie, uniósł kołdrę i wsunął pod nią stopy. Odwracając się zawisł nad Jo, oparty tylko na łokciu.

Patrzyli na siebie poważnie. Jej rude włosy rozsypały się na poduszce jak żywy jedwab. Oczy przypominały szmaragdy. Miała jasną cerę, miękkie usta.

– Kto kiedy słyszał o rudej czarownicy? – rzucił.

Pocałował ją.

Pocałunek trwał, Bob smakował długo usta dziewczyny. Wsunął wolną, prawą rękę pod sweter, potem koszulę Jo. Nie miała stanika. Przesunął dłoń na wypukłość jej piersi.

– Dotknij mnie – poprosił.

– Chyba nie. – Wypowiedziała te słowa z pewnym trudem. Nie odrywała od niego wzroku. Zieleń jej oczu pociemniała.

Ujął jej rękę i pokierował nią tak, że trafiła pod jego koszulę. Zadygotał, czując dotyk jej uwięzionej dłoni.

– Zimno ci?

– Nie. – Musiał odchrząknąć. – Tak bardzo chciałem poczuć dotyk twych rąk.

– Unikałeś mnie. Nawet nie zatańczyłeś ze mną na zabawie podczas Halloween.

– Gdybym wtedy został, okryłbym cię swoją koszulą.

– Nie marzłam. Wokół było tylu ludzi, a ty...

– Wyglądałaś jak na wpół naga – zbeształ dziewczynę, gładząc ręką jej piersi.

– Wiesz przecież, że nie byłam. Dlaczego nie zostałeś i nie poprosiłeś mnie do tańca?

– Nie zostanę w Tempie.

– A co to ma do rzeczy?

– Nie chcę się tu w nic angażować.

Otworzyła usta, by odpowiedzieć, jednak Bob zamknął je długim, namiętym pocałunkiem.

Zsunął dłoń wzdłuż jej pleców, na pośladki. Mocno przyciągnął dziewczynę do siebie. Jęknęła.

Zaczął rozpinąć dzinsy, gdy z korytarza dobiegł odgłos kroków.

Zerwał się na równe nogi, zapinając w pośpiechu spodnie; szybkim ruchem poprawił zmiętą koldrę.

– Robiłeś to już kiedyś! – szepnęła.

– Co?

– Ktoś przyłapał cię w łóżku z kobietą, z którą nie powinieneś w nim być!

– Nie.

– Więc dlaczego tak sprawnie zatarłeś ślady?

– Mój ojciec był marynarzem.

Drzwi otworzyły się. Stanął w nich Porter.

– Przepraszam, ale nie mogłem wcześniej. Jak poszło dzieciom? Dlaczego wy jeszcze tu jesteście?

Bob trzymał ręce w kieszeniach. Odwrócił się i wyjaśnił:

– Mam kłopoty z... tempem.

– Jasne. Jeśli zrobimy to zbyt szybko, całe przedstawienie zakończy się w dziesięć minut.

Jo przekręciła się na bok i wsparła na łokciu.

– Pewne sprawy – dodała – wymagają nieco dłuższego czasu.

Bob zerknął na nią, a ona obrzuciła go spokojnym, pogodnym spojrzeniem. Dawała mu do zrozumienia, że potrzebuje czasu na podjęcie decyzji. Bob rozważył tę myśl. Właściwie, czy postanowił już, że wyjedzie, czy tylko uważał, że powinien

to zrobić?

Porter uczęszczał w szkole do klasy młodszej o dwa lata od klasy Boba. Nie był zbyt wysoki; trochę tęgawy, zwykle wesoły, o zmierzwionych włosach.

– Cieszę się, że zagram w tym przedstawieniu – wyjaśnił. – Zawsze byłem tylko halabardnikiem.

– Uśmiechnął się. – Felicja poprosiła mnie w maju, żebym zagrał Świętego Mikołaja. Nie mogę się doczekać; to prawdziwa rola.

Aha, pomyślał Bob, dramatyczna reakcja Felicji, gdy zgodziłem się zagrać tatę, była oszustwem! Porter nie dostał wcale tej roli! Postanowił podtrzymać rozmowę.

– Wchodzenie kominem może być interesujące – zauważył.

– Nie powiedziałaś mu? – Porter spojrzał na Jo.

– Chyba nie.

– Właściwie nie muszę wchodzić przez komin – wyjaśnił Porter Bobowi. – Zeskoczę tylko z rusztowania umieszczonego za atrapą komina.

– – Ach tak – odparł Bob takim tonem, jakby od dawna rozmyślał nad tym problemem.

Porter chodził po scenie, obrzucając ją spojrzeniem gospodarza. Bob wiedział, że Porter nie wyjdzie, dopóki nie wyjdą on i Jo. Spojrzał na dziewczynę.

– Masz tu swój samochód?

– Nie.

– Odprowadzę cię.

– Nie ma potrzeby – wtrącił się Porter. – Musiałbyś nadłożyć drogi, a ja mieszkam koło Jo. Ja ją odprowadzę.

Cóż mógł odpowiedzieć mężczyzna, który nie chciał zdradzić swych zamiarów?

– No cóż, do zobaczenia na następnej próbie.

Spojrzał bezradnie na Jo i sięgnął po kurtkę.

Zawahał się... Uznał jednak, że jak na jeden wieczór narobił już dość głupstw. Wyszedł.

Nadeszło Święto Dziękczynienia; do domu zjechali wszyscy Brownowie. Niektórzy przyjechali z uczelni, a wśród nich najmłodsza naturalna córka Salty'ego i Felicji, Carol, stara przyjaciółka Jo. Rozłożyste domostwo pękało niemal w szwach. Oczywiście, przyjechała też Georgia i Lukę. Zrobił się prawdziwy dom wariatów!

Bob odwiedził Jo. Mówił sobie, że chce się wyrwać z całego tego zamieszania.

W domu dziewczyny zastał jej rodzinę. Brat, John, ucieszył się na widok Boba; mógł wreszcie porozmawiać ze starym znajomym. Matka przywitała się i obrzuciła go niechętnym spojrzeniem. Wiedziała oczywiście, że Bob zamierza wyjechać i chciała zniechęcić go do asystowania córce.

Dzieci Johna były grzeczne i ciche, co kontrastowało z zachowaniem licznego potomstwa Brownów. Bob uznał, że pani Malone na pewno terroryzuje dzieci; skąd wzięłaby się ta układność? Jeszcze jeden powód, by uwolnić się od jej córki, Josephine. Mani Malone powinna wiedzieć, że nie musi się przejmować Bobem Brownem, wyleczonym na dobre z pociągu do kobiet.

Dwa dni po tym, gdy dzieci, naturalne i adoptowane, rozjechały się w różne strony, Bob wrócił do domu na obiad. Zastał Salty'ego i Felicję siedzących przy stole w kuchni. Felicja przykładała do czoła zmoczony ręcznik.

– Co ci dolega, mamó? – zapytał.

– Kończy pięćdziesiąt lat – powiedział czule Salty.

Felicja potwierdziła dramatycznie zniżonym głosem:

– Kompletnie zapomniałam. – Odjęła ręcznik od czoła i powtórzyła ze zgrozą:
– Pięćdziesiąt!

– Mówiłem jej, że to nic wielkiego. – Salty uśmiechał się nieznacznie.

– Tylko mężczyzna może powiedzieć coś tak głupiego – obruszyła się Felicja. Szukała wsparcia u Boba: – Jak mogę tu żyć i czekać na następne urodziny, gdy wszyscy... wiedzą?

– A gdzie chciałabyś być? – zapytał praktycznie Bob.

– W Nowym Jorku.

– Więc pojedź tam – rzucił skwapliwie Salty. – Bob jest tutaj i może się wszystkim zająć.

– Chwileczkę. – Syn uniósł ręce w obronnym geście.

Felicji to nie odstraszyło.

– Odmawiasz mi prawa do wyjazdu? – zapytała oskarżycielsko.

Bob niemal słyszał trzask drzwi klatki, zamykających się za jego matką. Przymrużył oczy, zastanawiając się nad jej talentem. Jest świetna, pomyślał.

– Jedź. Ja się wszystkim zajmę.

– Widzisz? – powiedział Salty do żony. – Wiedziałem, że możemy liczyć na naszego syna.

– Tak – uzupełnił Bob z gorzką ironią w głosie. – Właśnie straciłem pracę i żonę, więc mogę zaoszczędzić ci spędzenia pięćdziesiątych urodzin w Tempie.

– Cóż za głęboka myśl. – Głos Felicji zadrżał z emocji.

– Nie przesadz z tym szyderstwem – poprosił Bob.

Przypadkiem wiedział, że rodzice zarezerwowali już wcześniej miejsca w samolocie, a nawet kupili bilety na przedstawienia, które Felicja chciała obejrzeć. Bilety do teatru na Broadwayu trzeba rezerwować na miesiąc wcześniej...

Nieco później natknął się w holu na rodziców i usłyszał przypadkiem fragment ich rozmowy:

– Skoro nalegasz, wezmę norki – postanowiła Felicja. – Tutaj nie chciałam w nich paradować, a tam nareszcie sobie pofolguję, kochanie. – Wyciągnęła rękę tak, by Salty mógł ją chwycić i pocałować.

Dlaczego Bóg pokarał mnie takimi rodzicami, pomyślał Bob. Kabotyni!

Policzył porcje jedzenia i zapytał, czy wszyscy będą na kolacji. Dwunastoletni Teller nigdy nie jadał razem z resztą rodziny. Były jeszcze jednak dwie sześciolatnie dziewczynki.

– Chyba zadzwonię do Georgii albo może do Terry'ego. Poproszę, żeby tu zostali.

– Przyjdzie Jo.

– Co? – Bob stwierdził z niepokojem, że jego ciało – zareagowało na sam dźwięk tego imienia. Zareagowało? Tak, był podniecony! Cóż za upadek. Ale... ta kusząca Josephine będzie tutaj, a matka i ojciec w Nowym Jorku!

– Jo Malone – wyjaśniła Felicja. – Zajmie się dziewczynkami.

– Ona może tu zostać... bez przyzwoitki? – zapytał, gdyż najbardziej chciałby otrzymać takie zapewnienie na piśmie. Przecież matka mogła tylko z niego kpić. To do niej podobne!

Felicja cierpliwie wyjaśniła:

– Nie, oczywiście nie, kochanie. Zamieszka tu też pani Thomas.

– Wielkie nieba! – Bob był wstrząśnięty.

– Powtarzam tylko to, co usłyszałam od Jo.

– Kiedy zdążyła to powiedzieć?

– Gdy poinformowaliśmy ją, że wyjeżdżamy do Nowego Jorku i poprosiliśmy, żeby popilnowała dziewczynek, razem z panią Thomas jako przyzwoitką.

– To znaczy jeszcze zanim mnie oszukaliście?

– Łaziłeś gdzieś i nie mogliśmy cię znaleźć.

– Szukałem jajek – zauważył z sarkazmem Bob. To rozbawiło ojca.

– A co z przedstawieniem? – Bob zmarszczył brwi.

– Jo będzie reżyserować ze swego łóżka na scenie.

– Jak długo zamierzacie przebywać w Nowym Jorku? – zapytał z napięciem w

głosie.

– Niedługo. Nie wiemy jeszcze dokładnie. Kiedy uznam, że wszyscy tutaj zapomnieli już o moich urodzinach.

Później rozpoczęły się gorączkowe przygotowania do podróży. Małżeństwo pakowało walizki i załatwiało przed wyjazdem wiele spraw. Ochotnicy mieli zastąpić na jakiś czas Salty'ego i Felicję w ich licznych obowiązkach. Bob zorientował się, że całe przekłete miasteczko wiedziało wcześniej niż on sam o tym, iż wraz z Jo mają pilnować dziewczynek, z panią Thomas jako przyzwoitką.

Mieszkańcy Tempie bardzo się tym interesowali. Kobiety chichotały ukradkiem, mężczyźni śmiali się otwarcie.

W końcu Jo przeprowadziła się do domu Brownów. Bob i chłopcy pomagali jej wnosić walizki.

– Jak długo zamierzasz zostać? – zapytał Bob, wchodząc po raz drugi po schodach. Niósł rzeczy Jo do dawnego pokoju siostry, Georgii.

– Kto wie?

Bob wykrzywił się niechętnie, żeby zamaskować radość, jaka go ogarnęła. Będzie miał dość czasu, żeby wymyślić coś, co zaspokoi jego chętkę na tę kobietę.

Panią Thomas przywiózł samochodem Porter. Drobnokościstą, wścibską staruszkę zaprowadzono do pokoju rodziców.

Gdy pani Thomas rozgaszczała się na górze, inni dorośli siedzieli na oszklonej werandzie, w oczekiwaniu na wyjazd na lotnisko w Cleveland.

Bob zdziwił się, że rodzice pozwolili komuś wkroczyć do swego sanktuarium.

– Nie rozumiem, dlaczego wpuściliście ją do waszego pokoju? – zapytał.

Rodzice wymienili zadowolone spojrzenia.

– No cóż, kochanie – mruknęła jego matka. – Ona i tak by tam włązła, przecież wiesz. Na wszelki wypadek zabraliśmy z sypialni niektóre przedmioty i...

– zakończyła z nutką wesołości w głosie – podłożyliśmy kilka innych.

– Felicja wysyła właśnie do diabła resztki naszej reputacji – dodał spokojnie Salty.

– Wcale nie. – Matka Boba udawała oburzenie. – Ja tylko chcę dać jej trochę do myślenia.

– Wszyscy w miasteczku domyśla się, że wystrychnęłaś ją na dudka – oświadczył stanowczo jej mąż.

– Ale nie ona. – Felicja uśmiechnęła się jak leniwy kocur.

Bob cieszył się, że rozmowa odwraca uwagę obecnych od niego. Rozparty w fotelu przymknął oczy, żeby nikt nie zauważył, jak obserwuje Jo Malone. Jej

czerwone włosy komponowały się świetnie z wystrojem domu. To tak, jakby dom czekał specjalnie na nią, jakby bez niej nie był kompletny, pomyślał.

Ponieważ pani Thomas mogła popilnować dzieci, Jo pojechała razem z Bobem na lotnisko wyprawić Felicję i Salty'ego. Starsi Brownowie ucałowali ją serdecznie i uścisnęli Boba.

– Na pewno wrócimy na przedstawienie. Wierzymy, że wypadnie doskonale.

Pomachali na pożegnanie i zniknęli w rękawie łączącym salę dworca lotniczego z samolotem.

Jo i Bob poczekali, aż samolot odkołował, ruszył i zniknął w oddali. Zresztą... samoloty ciągle startowały; trudno było stwierdzić, który z nich leci do Nowego Jorku.

Wyszli z budynku dworca lotniczego, odnaleźli na parkingu samochód Boba i wyruszyli z powrotem do Tempie.

Bob spojrzął na zegarek.

– Już późno, nie zdążymy dojechać. Moglibyśmy przenocować w motelu.

Dostrzegł kątem oka, że pokręciła głową.

– Z motelu do domu twoich rodziców jest tylko osiem kilometrów.

– To długa podróż.

– Jakoś ją zniesiemy. Pani Thomas na pewno na nas czeka. Zaprowadzi nas do łóżek i położy spać.

Użyła liczby mnogiej. Bob zastanawiał się, jak długo jego rodzice pozostaną poza domem. Ile ma czasu?

Potem rozważył starannie tę myśl. Czy planuje uwiedzenie Josephine Malone? Czy nie musi bardziej nad sobą panować? No cóż, w końcu ona jest dorosła i wie o jego zamiarach. Przecież ją ostrzegał.

Tak, zamierzał ją uwieść. Jak to zrobić z sześciorgiem dzieci i panią Thomas na głowie?

Musi znaleźć jakiś sposób.

Rozdział 6

Bob nie mógł tej nocy zasnąć. Nieco dalej, oddzielona pokojem pani Thomas, słodka Josephine prawdopodobnie spała snem fałszywego niewiniątka. Bob poprosił swego anioła stróża, żeby zakradł się do jej pokoju i zasiał w rudej głowie lubieżne myśli. Anioł nie usłuchał.

Mężczyzna zaczął rozmyślać o tym, kiedy ostatnio pożądał tak ciała kobiety. Minęło już wiele lat... Bardzo wiele. Równie silnych uczuć doświadczył ostatnio jako piętnastolatek.

Wstał, włożył dres i czapkę. Po cichu zszedł po schodach na ganek. Na zewnątrz poćwiczył trochę, a potem pobiegł do miasteczka, budząc po drodze psy, które zaczęły szczekać. Na pewno informowały się wzajemnie o wariacie, który biega nocą po mieście. Ludzie otwierali okna i uciszali zwierzęta. W ciągu trzydziestu minut Bobowi udało się obudzić prawie wszystkie psy i ludzi.

Podczas drugiego okrążenia nadjechał samochód szeryfa.

– Wybrałeś sobie świetną porę na jogging. Co ci jest? – Jim Varner wybuchnął śmiechem.

Mimo niskiej temperatury, Bob ocierał pot z czoła. Zdawał sobie sprawę, że Jim wie doskonale o pobycie Jo w domu Brownów. Szeryf robił jakieś głupie aluzje, a Bob nie mógł dopuścić, by ktoś uważał, że zachowuje się jak piętnastolatek.

– Jim, to jest wolny kraj – powiedział.

– Zakłócasz spokój i naruszasz poczucie bezpieczeństwa, do którego mają prawo wszystkie psy i wszyscy obywatele.

– Jesteś pewien, że to ja? A może jest tu ktoś obcy i chce obrobić parę domów? Może zostawiłbyś w spokoju uczciwego obywatela i poszukał prawdziwych przestępców?

– Marnujesz się. Powinieneś być prawnikiem.

– Nie. Hydraulikiem.

– Aha, już to widzę. Nie powiem ci, co musiał zrobić Nick, żeby wymienić rurę pod podłogą piwnicy, bo się zniechęcisz i posterunkowy oszaleje.

– Za chwilę zamarznie na mnie pot. Bill Piper znajdzie mnie rano, a on ma słabe serce. To ciebie oskarżą o jego zawał.

– Więc może pobiegnij do domu. – Tym razem Jim zaśmiał się naprawdę oblesnie.

Bob uznał, że szeryf ma jednak rację. Pobiegnął w kierunku domu, ścigany szczekaniem psów i trzaskaniem okien.

Wszedł na ganek i otworzył drzwi. W sieni natknął się na panią Thomas, która zaczęła się z wałkiem. W ostatniej chwili odskoczył, unikając ciosu.

– To ja, pani Thomas! – wrzasnął.

Psy Brownów zaczęły czekać, obudzili się wszyscy mieszkańcy domu, nawet koty powyłaziły ze swych legowisk. Na schodach pojawiły się dzieci i Josephine. Włosy opadały jej na ramiona, okryte purpurowym szlafrokiem. Purpurowym! Wyglądała wspaniale.

Popatrzyła na niego w milczeniu. Odesłała dzieci do sypialni i zeszła na dół, żeby zaprowadzić panią Thomas do fotela. Pani Thomas dyszała ze zdenerwowania. Przecież przed chwilą pokonała włamywacza!

Bob zsunął kaptur i zdjął czapkę.

– Pani Thomas, to ja, Bob. Czy dobrze się pani czuje?

Staruszka doszła do siebie nadspodziewanie szybko.

– Usłyszałam hałas i zeszłam na dół. Wtedy pojawiłeś się na ganku!

Jo poklepała ją po dłoni i pochwaliła:

– Jest pani bardzo odważna.

– Bałam się, ale przecież odpowiadam za te dzieci... – przyłożyła rękę do czoła.

Bob obserwował ją spod przymkniętych powiek. Gest Felicji, jednak nie ten głos. Zastanawiał się, czy spanie w łóżku jego matki mogło zarazić panią Thomas skłonnością do dramatyzowania?

Spojrzał na Josephine Malone, która klęczała w szlafroku koło fotela staruszki. Dziewczyna wyglądała cudownie z włosami w nieładzie. Właściwie może znosić obecność pani Thomas... dopóki Jo nie zaspokoi jego pożądania..

Zadygotał na samą myśl, że coś takiego może nastąpić.

– Zmarzłeś? – zapytała Jo.

Skinął głową. Warto zgadzać się z kobietą, gdy jej zapatrywania mogą być użyteczne. Powinna teraz zabrać go do łóżka i ogrzać. Czekał.

– Zrobię kakao – zaproponowała. Jezu! Kakao!

– Ja dziękuję – zaprotestowała pani Thomas. Chwała Bogu!

– Muszę się położyć.

– Spała prawdopodobnie po stronie Salty'ego i śniła lubieżnie o jego chropowatym głosie.

Bob pomógł staruszce wejść po schodach.

– Przykro mi, że panią przestraszyłem.

– Opieka nad sześciorgiem dzieci to duża odpowiedzialność.

– Tak, rzeczywiście, ale przecież my pani pomożemy.

Nie wyglądała na uszczęśliwioną.

– Nie siedźcie zbyt długo – upomniała go surowo.

– Josephine jest zmęczona.

– Postaram się jak najszybciej zapędzić ją do łóżka – przyrzekł całkiem szczerze.

Staruszka spojrzała niepewnie.

– Felicja ma tabletki nasenne. Dam pani jedną. Są zupełnie nieszkodliwe.

Przyniósł tabletkę i szklankę wody. Patrzył z ulgą, jak pani Thomas zażywa lekarstwo.

– Świetnie – powiedział.

– Nie wychodź już biegać.

– Nie wyjdę.

Gdy za panią Thomas zamknęły się drzwi, Bob zajrzał do dzieci. Zasypiały.

Uświadomił sobie, że jest spocony. Czy wzięcie prysznicza nie będzie zbyt ostentacyjne? Poza tym potrwa zbyt długo. Jo zostawi mu kakao i pójdzie spać.

Wszedł do pokoju, zrzucił dres i włożył piżamę. Zszedł do kuchni bosy, bez szlafroka. Poczł chłód.

Jednak zdążył, choć w ostatniej chwili; Jo właśnie wychodziła z kuchni.

– Myślałam, że poszedłeś spać.

– Dałem pani Thomas tabletkę nasenną. – Spojrzał na zegarek.

– Dlaczego?

Z miną niewiniątka wzruszył ramionami.

– Zdenerwowała się. Potrzebuje snu.

– Masz jeszcze jedną? Ja też chciałabym szybko zasnąć.

Ona także cierpiała dziś na bezsenność?

– Może powinnaś ze mną pobiegać?

– Może.

Dodała do kakao szczyptę prawoślazu.

– Powinnaś najpierw wsypać prawoślaz.

– Tak?

– Brownowie przestudiowali ostatnio dokładnie zagadnienia związane z kakao. Zawsze zaczynaj od prawoślazu.

– Przepraszam, nie wiedziałam.

– W porządku. Jesteś młoda, zdążysz się nauczyć. – Pomyślał, że mógłby

nauczyć ją wielu rzeczy. Ciekawe, czy usiadłaby mu na kolanach?

Uśmiechnął się.

– Chodź, usiądź, porozmawiamy.

Zawahała się, jednak w końcu usiadła. Na krześle.

– O czym?

– Co? – zapomniał, co jej przed chwilą zaproponował.

– O czym chcesz rozmawiać? Boję się, że będziesz w kółko mówić o wchodzeniu do łóżka.

– Zabawne, że o tym wspomniałaś. Właśnie to miałem na myśli.

Jak na dwudziestotrzyletnią kobietę świetnie rozumiała wszystkie niuanse rozmowy, jednak nie chichotała ani nie próbowała flirtować. Jeden z kotów wskoczył Bobowi na kolana. Dlaczego nie ona?

– Z kim chodziłaś na randki? – zapytał. – Miałaś kogoś na stałe? Mieszkałaś z kimś? Może zamierzasz teraz z kimś mieszkać?

– Życ z kimś? W tym miasteczku? Mając panią Thomas za sąsiadkę? Chyba żartujesz.

– Nie pocałowałaś mnie na dobranoc. Tak wytrąciłaś mnie tym z równowagi, że musiałem pobiegać, żeby się uspokoić.

– Phi!

– Nie powinnaś tak mówić. To bardzo poważne. Czyż nie widziałaś, że ja pocałowałem na dobranoc wszystkie dzieci?

– Twoi rodzice nic nie mówili o całowaniu cię na dobranoc.

– Spieszyli się i nie mogli pamiętać o wszystkim. – Postawił kota na podłodze. Uśmiechnęła się. Prawie.

– Postaram się jutro to naprawić.

– Musisz zrobić to już dziś.

– Nie uważam, żeby to było rozsądne.

– Dlaczego nie? – zdumiało go jej wahanie. A więc nie sprzeciwiała się stanowczo?

Kot znów wskoczył mu na kolana.

– Nie zostaniesz w Tempie – przypomniała mu Jo.

– A co to ma do rzeczy? – zacytował słowa, które ona już kiedyś wypowiedziała w podobnej sytuacji.

– Mogłabym wpaść w pułapkę.

– Nie – zaczął poważnie – to nie jest żadna pułapka. Powinnaś po prostu poćwiczyć na wypadek, gdybyś poznała kogoś, kogo chciałabyś pocałować i... –

znów postawił kota na podłodze – mogłabyś sfuszerować.

– To miło, że tak o mnie dbasz.

– Sam wyszedłem z wprawy – rzucił z wypracowaną niedbałością. – Gdybyś nie obdarzyła mnie tamtym pocałunkiem, zapomniałbym, jak się całuje.

– Nie uważam, że powinniśmy to powtórzyć.

Kot znów wskoczył Bobowi na kolana, a ten znów zestawiał zwierzaka na podłogę.

– Jeden mały pocałunek na dobranoc na pewno nie zaszkodzi, a ja tego potrzebuję.

Widział, że Jo nie może podjąć decyzji.

– Wspaniałe kakao. Dziękuję.

Odstawił filiżankę do zlewu. Gdy Jo wstała, podszedł, objął ją i pocałował. Dokładnie tak jak wtedy, w jej kuchni.

Odniosł identyczne wrażenie: świat zawirował, ramiona drżały, nogi z trudem utrzymywały go w pozycji pionowej.

Oderwał się od jej ust. Przylgnęli do siebie, chwytając łapczywie powietrze.

– Myślałem, że to będzie tylko zdawkowy pocałunek na dobranoc – jęknął.

– Hmm? – mruknęła.

Pocałował ją jeszcze raz; równie gorąco. Nagle... usłyszał jakiś szmer. Błyskawicznie wyciągnął rękę i zgasił światło.

– Jo? – dobiegł ich głos Teller.

Bob nie musiał w ciemnościach kryć uśmiechu. Jo znalazła się w niezręcznej sytuacji.

– Teller cię szuka – szepnął i delikatnie popchnął dziewczynę w kierunku schodów.

Teller dostrzegł ją i zapytał, co tu robi.

Bob został sam w ciemnej kuchni. Słyszał oddalające się kroki tamtych dwojga.

Nie mógł już biegać, więc wszedł na górę, ubrał się i wyszedł przed dom. Zapalił lampę naftową, umieścił ją na pniaku i zaczął rąbać drwa do kominka. Psy podeszły i przyglądały mu się uważnie.

Zdążył porąbać duży pień, gdy usłyszał ciche, niepewne wołanie:

– Bob! – Spojrzał w górę i zobaczył wychyloną przez okno Jo. Zorientował się, że zawołała go nie po raz pierwszy.

Uśmiechnął się, podszedł bliżej i wyrecytował:

– Lecz cicho! Co za blask strzelił tam z okna! Ono jest wschodem, a Julia jest słońcem! [Przekład Józefa Paszkowskiego.]

– Przystaniesz wreszcie hałasować? – usłyszał w odpowiedzi. – Co się z tobą dzieje?

Otworzył już usta, by wyjaśnić jej naturę swych uczuć, jednak dostrzegł w porę główki dzieci, które obserwowały przez okna wariata rąbiącego w nocy drewno. Zapytał tylko:

– Czy pani Thomas śpi? Nie doczekał się odpowiedzi.

– Często to robisz? – spytała z kolei Jo.

– Ostatnio tak.

– Wszystkich obudziłeś.

– Także panią Thomas?

– Nie, jej nie.

Uśmiechnął się, myśląc o zmarnowanej tabletkie.

– Czy mógłbyś wreszcie przestać hałasować i pozwolić nam spać?

– Naturalnie. – Dodał: – Czy jeszcze ktoś jest głodny?

Dzieci zawsze odczuwały głód, a już przekąska o północy to prawdziwa atrakcja. Odpowiedziały zgodnym chórem, że tak. Spodziewał się tego.

Tym razem w kuchni zgromadziły się wszystkie koty. Dali im mleka, żeby przestały miauczeć. Dzieci pomogły przygotować grzanki.

– To twoja wina – Bob szepnął do Jo. – Chodzi o bieganie i rąbanie drewna. Mogłabyś łatwo temu zapobiec.

Zdziwiona, uniosła brwi.

Nie rozumiała? Myślała, że po prostu zwariował? Nie dostrzegła jego nie spełnionej żądzy? Czyżby była aż tak... niewinna?

Posypała grzanki cynamonem i dała je dzieciom. Koty wypily mleko i rozeszły się do swoich kątów; dzieci zjadły; ziewały, ale ociągały się z powrotem do łóżek.

Bob usiadł w fotelu ojca. Mógł jednym ruchem, nie ruszając się z miejsca, zgasić górne światło. Poleciał im cicho:

– Wstawcie talerze do zlewu.

Dzieci podniosły się. Bob zorientował się, że Teller siedział przy stole razem z wszystkimi. Chyba po raz pierwszy.

– Mógłbyś dopilnować, żeby dziewczynki poszły od razu spać? – poprosił go Bob.

– Aha.

– Dobranoc, Teller.

Jo porządkowała kuchnię. Bob wstał i pomógł jej wytrzeć stół. Usłyszeli dochodzący z góry odgłos zamykanych drzwi.

– Teller siedział z nami, na dole – zauważył Bob.

– Nie zabrał jedzenia w jakiś kąt.

– Sprawuje się coraz lepiej. Ostatnio okazał wiele cierpliwości, gdy starałam się nauczyć go czegoś o silnikach. Przedtem w ogóle nie okazywał zainteresowania, a teraz chyba trochę się wciągnął.

– Poza tym nie wspomina o moim seplenieniu – uzupełnił Bob. – Zrobił to tylko raz, żeby dać mi do zrozumienia, że wie.

– Powinien wiedzieć. Wpadłam na to już wcześniej.

– Czyżbyś była sprytniejsza ode mnie?

– Ach – uśmiechnęła się – widzę, że i ty czegoś się nauczyłeś.

– Wiedźma! – Poklepał ją po pupie.

Odwróciła się i spojrzała wyczekująco. Wtedy zorientował się, jaki popełnił nietakt. Spróbował to naprawić:

– Chciałem tylko zażartować. Nie biję słabszych.

– Wiem.

– Wiedziałaś od początku?

– Nie od razu, jednak zorientowałam się już, na czym polega kłopot z Tellerem i dlaczego tak gwałtownie zareagowałaś. Postawiłam ci duży plus za to, że nie zdradziłeś przy chłopaku, że to jego chciałeś uderzyć.

– Salty nauczył Tellera roli, a potem pozwolił, żeby on uczył inne dzieci. Teller mógł poczuć, że jest ważny i akceptowany. Proste, ale wspaniałe.

– Teller mówi czasem coś, co rzuca trochę światła na jego życie. Nie zna swoich rodziców. Porzucili go. Czuje, że jest osamotniony.

– Nie wiem, czy w tym domu można w ogóle czuć się samotnie.

– Jest tu jeszcze zbyt krótko. Masz wspaniałych rodziców, Bob.

– Wiem, ale dla mnie to jest naturalne. Odkąd pamiętam, zawsze przygarniali dzieci. Gdybym miał własne, chciałbym je im podrzucić.

– Nic dziwnego, ale sam też byś się wprowadził, żeby patrzeć, jak dorastają.

Uśmiechnął się, potem rozejrzał wokół.

– Tak, to duży dom. Nawet nie zauważyliby, że tu jestem.

– Co z twoją żoną?

– Jesteśmy rozwiedzeni, nie mamy...

– Nie, nie chodzi o nią. Co z przyszłą matką twoich dzieci? Ona pewnie też by się wprowadziła.

– Dlaczego nie? Tu jest dużo miejsca. Znalazłaby jakiś pokój.

– To znaczy, że nie mieszkałaby w twoim pokoju? Zamierzasz robić dzieci

kobietom, a po dokonaniu dzieła chować się tutaj?

– Wspaniały pomysł! Jedyne kłopot polega na tym, że Salty poprosiłby mnie w końcu o uczestniczenie w wydatkach.

– Moja matka chce, żebym odkupiła od niej dom. Pracuję na pełnym etacie, jednak znalazłabym czas, żeby zająć się dziećmi, które potrzebują pomocy.

– Twoja matka powinna wrócić do Tempie. Gdyby John musiał zajmować się dziećmi, wynalazłby sobie kolejną żonę.

– Albo wynajdywałby kolejne kiepskie opiekunki.

– Mówisz jak stara ciotka. Wiesz przecież, że twoja matka hamuje naturalny rozwój wypadków.

– Powinien przejść na zasiłek, porzucić pracę i zająć się dziećmi? – spytała z ironią w głosie.

– Dlaczego nie?

– Kto cię namówił, żebyś nie wracał do normalnego życia?

Bob przyjrzał się uważnie Jo, jednak nie odpowiedział szczerze. Nie mógł.

– Pracuję dla ruchu wyzwolenia mężczyzn – wyjaśnił. Zaczął dość lekko. – Uważam, że przez całe stulecie a mężczyźni brali na siebie największy ciężar. Walczyli ze zwierzętami, które chciały zjeść ich żony i dzieci, walczyli z innymi mężczyznami, którzy chcieli ich żon, toczyli wojny rozpoczęte przez chciwych starców, choć wszyscy wiedzieli, że to idiotyzm. Dziś, w rzekomo racjonalnych czasach, musimy walczyć o pracę, o awans, o bezpieczeństwo i wygodę żon i dzieci. Chodzimy w kieracie, ginimy w tych nowoczesnych bitwach. Nadszedł czas, by kobiety przejęły nasze obowiązki. One zawsze wszystko wiedzą lepiej. Niech próbują.

Zapadła głęboka cisza. Przerwała ją Jo.

– O rany! – zawołała.

– Tylko taka reakcja? O rany?

– Ona musiała być prawdziwą modliszką.

I tym razem stwierdził, że powiedział więcej, niż zamierzał. Znowu zdradził, jak bardzo jest rozgoryczony. Uniósł bezradnie rękę.

– Już późno – powiedział.

Czekała długo, czy czegoś nie doda. Wreszcie odpowiedziała:

– Dobranoc, Bob. Śpij dobrze. – Wypowiedziała te słowa bardzo łagodnie, z namysłem. Poczekala jeszcze trochę... Potem odwróciła się i wyszła.

Jo przez cały czas czekała na pocałunek. Bob zdawał sobie z tego sprawę, jednak po takim przemówieniu nie mógłby pocałować jej delikatnie. A zatem nie

mógł w ogóle. To go zdziwiło, choć... Wiedział, że pocałunki mogą być bardzo różne. Niektóre mogą nawet oznaczać nienawiść. Teraz... tak właśnie by się stało... Zrozumiał to dopiero po chwili.

Wszedł na górę, zajrzał do dzieci. Potem usiadł na łóżku w swym starym pokoju. Chciałby, żeby leżała tu Jo. Złożyłby głowę na jej miękkich piersiach i ukoił skołatane nerwy.

Dlaczego Jo miałyby go uspokajać? Nawet nie zna go dobrze. Całowali się, to prawda, jednak... to za mało, żeby leczyć rany zadane przez inną kobietę. Tak, za mało.

Pomyślał o byłej żonie. Świadomie przywołał jej obraz. Zwykle unikał takich myśli, odpędzał je. Teraz zobaczył ją po raz pierwszy taką, jaką naprawdę była. To prawdziwa ulga; jak dobrze, że jestem z dala od niej, pomyślał. Ulga? Skoro tak, to dlaczego czuje bolesne ukłucia smutku, dlaczego czuje się... zraniony? Dlatego, że zdradziła zaufanie, jakie w niej pokładał, odpowiedział sobie.

Położył się i okrył kołdrą. Ziewnął, przeciągnął się... Ten ruch sprawił mu przyjemność. Jak dawno jej nie odczuwał? Czy to oznacza, że może odzyskać radość życia? No cóż, na pewno odzyskał pożądanie. Pożądał Josephine. Uśmiechnął się w ciemności. Właściwie mógł ją mieć. Czekala na pocałunek. A gdyby udało się sprawić, by mu uległa? Mieć ją w łóżku?

Wreszcie zasnął.

Salty i Felicja zatelefonowali do domu. Poinformowali, że wszystko w porządku i że świetnie się bawią. W Nowym Jorku jeszcze nie padał śnieg.

Za to w Tempie spadło aż dwadzieścia centymetrów. Dzieci szalały z radości. Bob musiał zamontować pług i za pomocą traktora odśnieżyć aleję.

Próby odbywały się teraz dwa razy w tygodniu. Bob grał już swą rolę całkiem sprawnie. Poza przedstawieniem miał jednak na głowie także inne sprawy.

Wprawdzie świąteczne prezenty kupowano przez cały rok, chowając je przed dziećmi, jednak trzeba było upiec ciasta, obrać z łupinek i posortować orzechy, ozdobić dom i wybrać choinkę. Poza tym były jeszcze mikołajki. Każde dziecko, które przybywało do domu Brownów, dostawało drewniany but, na którym widniało jego imię wymalowane farbą – znak przynależności do rodziny. Przed mikołajkami dzieci wystawiały buty za drzwi sypialni. Rano znajdowały w nich podarunki.

W tym roku Bob wkładał prezenty do butów, a Jo dokładała gałązki choinki i orzechy.

– A różgi? – zapytała. Bob pokręcił głową.

– Stosujemy bodźce pozytywne.

Nie przerywając robienia na drutach, pani Thomas zapytała:

– Czy w waszej rodzinie był kiedyś jakiś Holender lub Niemiec?

– Wielu. Musiała pani zauważyć pragmatyzm mojej matki.

Pani Thomas zachichotała.

Zadziwiła wszystkich swym talentem kulinarnym. Lubiła, gdy dzieci pozostawiały czyste talerze. Bob specjalnie podawał dzieciom mniejsze porcje, żeby mogły prosić o dokładkę. Starsza pani promieniała.

Gdy Salty i Felicja zatelefonowali, dzieci mogły oświadczyć z dumą:

– Zostawimy dla was piernik!

– Dlaczego ta kobieta podważa reputację Salty'ego jako najlepszego kucharza?

– zapytała Felicja Boba.

– Ośmielasz się to powiedzieć? – odparł jej syn.

Dom wypełniały odgłosy wesołej krzątania. W powietrzu dźwięczał śmiech, rozchodziły się ponętne zapachy pieczonych ciast, cynamonu i gałki muszkatołowej.

Rozdział 7

Na początku grudnia Bob miał dużo pracy; spóźnialscy przyprowadzali samochody, żeby przestawić je na eksploatację zimową albo zmienić opony przed świątecznym wyjazdem.

Biuro usług finansowych także nie narzekało na małe obroty. Mary Swanson organizowała pracę i utrzymywała porządek, a Vincent Harding okazał się świetnym księgowym. Bob zastanawiał się czasem, czy Salty nie wynalazł ich już wcześniej, zanim jeszcze on sam postanowił wrócić do domu?

Mroźna pogoda i śnieg sprawiały, że świat wyglądał tak, jak powinien o tej porze roku.

Młodsze dzieci przynosiły do domu karty z kolorowymi obrazkami i świątecznymi wierszykami. Wieszaly je na oknach i drzwiach, uzupełniając w ten sposób bożonarodzeniowe dekoracje. W domu Brownów było to tradycją.

Bob rzadko widywał Jo sam na sam, za to często ze sobą rozmawiali. Gdy wracał z pracy, zwykle całowali się na powitanie. Mówili o tym, co robili danego dnia, a pani Thomas dodawała swoje uwagi. Podczas posiłków dzieci przysłuchiwały się rozmowom i wtrącały własne trzy grosze. Bobowi przypominało to czasy dzieciństwa; dookoła wielu ludzi, wiele różnych opinii, słów...

Zorientował się, jaki był przedtem samotny.

Czasem udawało się mu dopaść Jo w jakimś pustym korytarzu. Całowali się wtedy żarliwie, korzystając z chwili, którą mogli dla siebie wyrwać. Wodził dłońmi po jej ciele, jednak ona nie pozwalała mu posunąć się zbyt daleko.

Na wszystko można znaleźć sposób. Bob wymyślił, że pójdzie na strych i przyniesie zabawki na choinkę. Oczywiście, Jo musiała mu w tym pomóc.

Postanowił wrócić wcześniej z pracy udając, że przypomniał sobie nagle o zabawkach. Wiedział, że tego dnia pani Thomas wyjdzie na przedświąteczne spotkanie swego kobiecego klubu. Nie będzie jej przez całe popołudnie. Zajrzał do kalendarza Jo i stwierdził, że nie ma tam zaplanowanych żadnych spotkań. A więc Josephine będzie w domu. Sama. Wspaniała okazja, żeby... Uśmiechnął się.

Wrócił do domu, otworzył drzwi i zawołał:

– Dzień dobry!

Odpowiedziały mu dwa cienkie głosiki. Zajrzał do salonu. Dwie małe dziewczynki leżały na kocach przy kominku i czytały. Ucieszyły się na widok

Bob. Długo przywoływał na twarz powitalny uśmiech.

– Niespodzianka, prawda? – spytała Jo, stając w drzwiach.

– Przeziębienie? – zapytał Bob, z trudem panując nad rozdrażnieniem.

– Bolały je brzuszki, ale to nic poważnego.

– Czy trzeba coś zrobić? – Nie wiedział co powiedzieć, więc zaoferował pomoc.

Pokręciła przecząco głową.

– Co tu robisz o tej porze?

– Muszę sprawdzić lampki na choinkę. Jo uśmiechnęła się.

– Dobra myśl. Wiesz, na tym terenie, który odziedziczyłam, rośnie kilka jodeł. Moglibyśmy jedną ściąć. Zabralibyśmy dzieci i psy, urządzilibyśmy piknik na śniegu.

– Może pojedźmy tam najpierw sami i rozejrzyjmy się. – Bob brał już udział w tego rodzaju wyprawach. Każde dziecko wybierało inną choinkę i kłótniom nie było końca. Salty uważał, że to dobra szkoła dyskusji, jednak Bob wolał wszystko z góry zaplanować.

– Dobry pomysł. Kiedy pojedziemy?

– Kiedy tylko będziesz miała czas.

Wziąłbym furgonetkę, pomyślał szybko. Grunt to dobry pomysł.

Poszedł na strych. Na szczęście strychem zajmował się Salty, który wyniósł z marynarki dobre morskie zwyczaje. Wszystkie przechowywane przedmioty były czyste, oznaczone etykietami i łatwe do odnalezienia za pomocą spisu umieszczonego na drzwiach. Bob wyjął lampki ze skrzyni z zabawkami i sprawdził, czy działają. Niektóre działały.

Nie zaniedbywali prób. Nawet najmłodsze dzieci znały swe role na pamięć, choć były już trochę znudzone ciągłym powtarzaniem tego samego i sprawiały kłopoty rozmawiając na boku i chichocząc.

Pewnego dnia, gdy spadło dalsze piętnaście centymetrów śniegu, Bob zabrał do domu kilka skoroszytów, żeby porównać dane finansowe z notatkami Salty'ego. Musiał zostawić samochód na końcu alei, gdyż stała się nieprzejezdna. Przebrnął przez zwały śniegu i wszedł na zamieciono stopnie ganku. Otworzył drzwi... Jo była w domu! Pani Thomas też.

Zdjął buty i kurtkę. J o podała mu herbatę z ciasteczkami. Pił i jadł, spoglądając na wypełnione ciasteczkami puszki, przygotowane jako prezenty dla sąsiadów i przyjaciół Brownów. Rozmawiali o błahych sprawach. Policzki Jo zaróżowiły się

od gorąca, buchającego z piekarnika. Potem Bob wyszedł, żeby odśnieżyć aleję, zanim dzieci przyjadą szkolnym autobusem.

Gdy odstawił traktor pod wiatę i wrócił, pani Thomas zauważyła:

– Nikt nie pozbiarał rano jajek, a są mi potrzebne.

Bob wstrzymał oddech. Po chwili zaproponował ostrożnie:

– Mógłbym to zrobić, ale wie pani, że nie mamy kurnika. To trochę potrwa.

Pani Thomas zmarszczyła brwi.

– No cóż, właściwie będą potrzebne dopiero po południu.

– Na pewno są w stodole. Jo, pomogłabyś mi?

– Dobrze – odparła znad stosu rachunków, które właśnie porządkowała. Wstała, żeby włożyć buty i kurtkę. A więc zwabił ją do stodoły! To już połowa sukcesu.

Wysypał trochę ziarna na klepisko; kurczęta zbiegły się i stłoczyły wokół pożywienia. Krowa machnęła ogonem, a kucyk wyszedł na dwór.

Bob zdjął z gwoździa koszyk i wręczył go Jo. Rozpoczęli poszukiwania. Bob uwijał się żwawo, żeby szybciej wykonać pracę. Kładł jajka w widocznych miejscach, a Jo zbierała je i umieszczała w koszyku. Gdy był już w połowie pełny, Bob wszedł na stryszek, gdzie znalazł jeszcze kilka jajek. Jo weszła za nim.

Wziął od niej koszyk i odstawił ostrożnie na bok.

– Łaknę twego czarodziejskiego pocałunku – oświadczył.

Rozejrzała się po stryszku. Bawiła się tu z Carol i znała każdy jego zakątek.

Pociągnął ją w dół, na siano. Nie broniła się, jednak nie pomogła mu też zbyt. Zaczął całować Jo, przygniatając ją własnym ciałem do miękkiego siana.

Ten pocałunek nie różnił się od innych; sprawił, że serca obojga zabiły w wariackim rytmie, tracili dech...

Bob walczył z drżeniem rąk; rozpiął zamek kurtki Jo, rozpinał guziki... Wsunął dłonie pod ubranie dziewczyny, znajdował zręcznie to, czego szukał.

Jo starała się ułatwić mu te manewry, gdy nagle drzwi stodoły stanęły otworem i usłyszeli odgłos kroków na klepisku. Bob szepnął dziewczynie do ucha:

– Uwaga, ona tam jest.

Nie kłamał. Usłyszał, że otworzyły się tylne drzwi, a nie odśnieżona droga, która do nich prowadziła, musiała stanowić dla pani Thomas przeszkodę nie do pokonania. To była koza.

– Ona nie wejdzie po drabinie – stwierdził. To także odpowiadało prawdzie. Drabina była zbyt stroma.

– Wystarczy, że się nie poruszysz.

Jo leżała bez ruchu, a Bob bezwstydnie z tego korzystał. Wsunął język do ucha

dziewczyny, co sprawiło, że sutki jej piersi stwardniały, a ciało przeszło rozkoszny dreszcz.

Całował jej szyję i usta, coraz mocniej, coraz natarczywiej... Dyszał ciężko, dziewczyna omdlewała. Zręcznie zsunął z niej ubranie i zaczął przebiegać ustami po całym ciele. Gdy naprężyła się, reagując na te pieszczoty, biorąc to za opór, powtórzył zmysłowy pocałunek, chcąc ją podniecić.

Koza hałasowała, klekocząc prętami zagrody kucyka. Bob nałożył prezerwatywę. Jo głośno westchnęła, a Bob, udając przestach, zakrył jej dłonią usta i odwrócił głowę, rzekomo sprawdzając, czy „ona” nie wchodzi po drabinie. Potem znów pocałował Jo i szepnął jej do ucha:

– Ona cię usłyszy. – Oczywiście, miał na myśli kozę.

Zgodnie z przewidywaniami mężczyzny, koza po pewnym czasie pchnęła drzwi i wyszła. Bob położył się na Jo i na chwilę znieruchomiał. Mogła się jeszcze wycofać, jednak przyciągnęła go mocno ramionami, jęknęła i poszukała ustami jego ust. Rozebrał dziewczynę do końca, odsłaniając miejsce, którego tak bardzo pragnął.

Pomagała mu, aż zadrżał i poczuł, że traci oddech. Zdołał wyszeptać:

– Och, Jo...

– Bob... – odpowiedziała mu. Drgnął, lecz jeszcze czekał.

– W porządku? – zapytał w końcu Szybko skinęła głową, siano zaszeleściło.

– Chcę więcej – poprosiła. Zacerpnął tchu i zdołał powiedzieć:

– Tak. – Dygotał.

Cofnął się nieco, a Jo chwyciła go, jakby chciała przytrzymać.

– Nie! – szepnęła.

Zaczął się z nią kochać. To było fantastyczne. Może zachowywali się trochę niezdarnie, ale i tak nie mogłoby być lepiej. Wreszcie zeszytnieli w skurczu rozkoszy i znieruchomieli. Wiedział już, że Jo nie miała żadnego doświadczenia.

Zatopił usta w jej włosach.

– Mój Boże, Jo, nigdy jeszcze nie przeżyłem czegoś tak wspaniałego.

– Bob. – Wypowiedziała jego imię w taki sposób, że nie musiała już niczego dodawać.

Uniósł głowę i spojrzał na nią z czułością. Delikatnie starł palcem łzy, które błyszczały na jej policzkach.

– W porządku? – zapytał.

– Cudownie.

– Szkoda, że nie mogę tego powtórzyć. Odebrałaś mi siły...

– Nie odsuwaj się. Lubię, kiedy mnie dotykasz.

Żona nigdy nie powiedziała czegoś takiego. Słowa Jo przywracały mu wiarę w siebie.

Leżeli spleceni w uścisku, całowali się delikatnie, mruzcili. Wreszcie Bob zauważył:

– Musimy odnieść jajka.

– Tak.

Niechętnie odsunęli się od siebie. Bob zawinął prezerwatywę w chusteczkę i schował do kieszeni. Uporządkował ubranie i pomógł jej zrobić to samo. Wziął koszyk. Zeszli po drabinie na dół.

Jo przypomniała sobie o prozaicznych problemach.

– Pani Thomas będzie się zastanawiała, dlaczego nie było nas tu, gdy weszła.

Udał zdziwienie.

– Pani Thomas? To przecież była koza.

– Co?

– Myślałaś, że to pani Thomas? Jo wyjaśniała mu jak dziecku:

– Otworzyła drzwi i weszła. Powiedziałeś, że nie może wejść po drabinie.

– Nie mogła. Nigdy nie widziałem kozy, która by tego dokonała.

– Chytrze sobie ze mną poczynałeś.

– Jesteś wspaniała.

– Wystarczyłaby ci każda inna kobieta – zauważyła.

– Jak mogłaś coś takiego powiedzieć? Chciałem ciebie, to ty sprawiłaś, że niemal oszalałem. A niby dlaczego rąbałem drzewo i biegałem?

– Jesteś erotomanem?

– Tylko jeśli chodzi o ciebie – odpowiedział spokojnie. – Pocałunek żadnej innej kobiety nie zrobił na mnie nigdy takiego wrażenia. Nikogo nie pragnąłem tak, jak ciebie. To nie tylko seks, Jo. Musisz to wiedzieć. Kochaliśmy się.

– Powiedziałeś to tak, jakbyś był zaskoczony? – rzuciła z zainteresowaniem w głosie.

Wyciągał z jej włosów źdźbła siana.

– Tak. Myślałem, że kobiety mam już z głowy.

– Ale nie dziś – zauważyła z pewnym rozbawieniem.

– Och, Jo, chyba nie żałujesz tego, co się dzisiaj wydarzyło?

– Nie. Zawsze tylko byłam zdziwiona, a dziś jeszcze bardziej.

– Co masz na myśli?

– Pozwoliłam ci na tak wiele, gdyż sama tego chciałam.

– Robiłaś to po raz pierwszy? Jak się uchowałaś?

Obdarzyła go wyrozumiałym spojrzeniem.

– Nigdy nie robiłam tego z innym mężczyzną.

Uchodzę za zimną kobietę. Zwykle wychodzę z domu razem z koleżankami.

Nie jesteśmy łatwe do... – urwała.

Bob rozejrzał się wokół, szukając przyczyny, jednak nie zobaczył nikogo.

– Do czego? – zapytał.

– No cóż, chyba musiał się trafić właściwy mężczyzna, żeby przekonać mnie, że jestem... łatwa.

– Tylko... łatwa? Czyż... czy nie lubisz mnie choć trochę?

Zaczerwieniła się.

– Nie jestem pewna. Oczywiście, lubię cię całować i... – wskazała ręką stryszek

– ... i to było naprawdę... cudowne.

– Wiesz, to było coś ekstra.

– Na pewno. Jesteś wspaniałą. Tak sprawnie poradziłaś sobie z ubraniem...

Byłaś już na wielu stryszkach?

– No cóż, spróbowałem po raz pierwszy, gdy miałem czternaście lat. Leżałem z dziewczyną, gdy Salty wszedł do stodoły. Czekaliśmy przerażeni, aż nas odkryje, ale w końcu wyszedł. Wtedy strach tak nas sparaliżował, że uciekliśmy.

– Kim ona była?

Bob uśmiechnął się, widząc ciekawość Jo.

– Straconą szansą odkrycia, o co chodzi w życiu.

– Wszetecznik – rzuciła żartobliwie i zaczęła czyścić ubranie z resztek słomy.

Odwrócił się, żeby Jo sprawdziła, czy nie ma słomy na plecach. Potem położył dłonie na jej okrytych płaszczem biodrach, objął ją i przytulił. Bardzo delikatnie pocałował. Po raz pierwszy pocałunek nie rozpałił ich żądz. Był po prostu słodki.

Wrócili do domu nieco rozczochrani, z zaróżowionymi policzkami, jednak usprawiedliwiał ich zimny wiatr.

Kochankowie nie zdają sobie sprawy, jak wymowne są ich spojrzenia.

Bob i Jo jedli obiad, zaś pani Thomas przyglądała się im znad robótki, z fotela na biegunach. Potem posprzątała w kuchni i zajęli się swoimi sprawami, świadomi wzajemnie swej obecności.

Do domu wpadły dzieci, które właśnie wróciły ze szkoły. Pobiegły szybko na górę, żeby się przebrać i wyjść na dwór, na śnieg. Pokrzykując wesoło, ulepiły bałwana i zawiązały mu wokół szyi starą, czerwoną chustę Salty'ego i kraciatą czapkę, którą Bob znalazł w szafie i dał im do zabawy.

Po zjedzeniu wspaniałej kolacji, przygotowanej przez panią Thomas, dzieci usiadły przy okrągłym stole w kuchni, żeby odrobić lekcje. Dwie najmłodsze dziewczynki nie musiały odrabiać lekcji, więc bawiły się lalkami, ubierając je w suknie ze starych gałganków.

Wreszcie młodsze dzieci poszły spać, zmęczone i zadowolone. Zapadła cisza. Przez cały czas Teller robił to, co inne dzieci. Teraz siedział razem z Benem i Saulem; od kiedy chłopcy skończyli dwanaście lat, mogli chodzić spać później.

Gdy o jedenastej Bob przypomniał im, że czas się położyć, tylko Saul i Ben powiedzieli „dobranoc”. Teller odłożył książkę i wyszedł bez słowa.

– Dobranoc, Teller – zawołał Bob.

– Branoc – mruknął chłopiec.

Bob i Jo uśmiechnęli się do siebie. Mężczyzna podniósł książkę, którą czytał Teller. „Opowieści z tysiąca i jednej nocy”. Historie o magii, szczęściu i dżinach spełniających życzenia ludzi.

Bob przypomniał sobie marzenia, jakie miał w wieku dwunastu lat. Poczł nostalgicę. To już nie wróci. Odłożył książkę niemal dokładnie w miejscu, w którym zostawił ją Teller. Usiadł przy kominku, po chwili dorzucił trochę gałązek; niewiele, tyle, żeby ogień nie płonął zbyt długo.

Pani Thomas oglądała jeden ze swych ulubionych programów telewizyjnych, które pochłaniały ją bez reszty. Jo także usiadła przy kominku. Rozmawiali o miasteczku i wspólnych znajomych. Dzięki temu mogli na siebie patrzeć.

Poczekali, aż pani Thomas położy się spać. Potem weszli do kuchni i nie zapalając światła gwałtownie przyłgnęli do siebie.

– Uważaj, bo farba zejdzie ze ściany od żaru twojego ciała – zażartował Bob.

– Nie szkodzi. Salty czeka tylko, aż Abner będzie mógł znów pracować. Pomaluje wtedy cały dom. Zresztą do tego czasu już wszystko będzie wymagało odnowienia. Twoi rodzice będą musieli sprzedać jedno z dzieci, żeby zapłacić za remont.

– Które? – zainteresował się Bob.

Jo wybuchnęła śmiechem.

– Dobrze, że nie muszę wybierać! Wszystkie dzieciaki są kochane, a twoi rodzice to czarodzieje! Potrafią stworzyć dla nich raj! Ile dzieci zdążyli już wychować?

– Muszę pomyśleć. Kilkoro nie chciało zostać na stałe. Dwoje zniknęło z horyzontu, jednak inne, co najmniej tuzin, utrzymują z nimi kontakt. Ten dom jest ich domem. Zobaczysz, ilu ludzi zwali się tu na święta!

- Będę wtedy u siebie.
- Mogłabyś zamieszkać ze mną w moim pokoju.
- Niegodziwcze! Jak możesz tak mnie kusić?
- To jest dla ciebie pokusą?
- Tak.

Pocałunek znów zagroził farbie. Bob nie mógł tego dłużej znieść; zabrał Jo do piwnicy, żeby razem z nią sprawdzić piec. Zatrzasnął kotom drzwi przed nosem i zablokował je klinem. Chodziło o to, żeby nikt nie mógł przeszkodzić w sprawdzaniu pieca.

Bob był przygotowany, by kochać się z Jo, jednak najpierw przycisnął ją do ściany, tak jak sobie wymarzył. Pisnęła na znak protestu, gdyż zewnętrzna ściana była lodowata. Podniósł dziewczynę i przeniósł ją pod inną ścianę, wewnętrzną, także zimną, ale już mniej.

Starannie dotykał Jo, jakby sprawdzał, czy jest kobietą. Potem usiadł na starej sofie, a Jo na nim, obejmując udami jego nogi. Rozpiął dziewczynie sweter, torując sobie drogę do jej piersi, zdjął jej spodnie i majtki.

– Masz zbyt wiele warstw ubrania, wiesz? – narzekał.

– Nie wiedziałam. Mama zawsze mówiła, że nie ubieram się dostatecznie ciepło. Przez całe życie słyszałam tylko: „włóż sweter”.

– No dobrze już, dobrze. Poczekaj, pomogę ci. – Uniósł ją i posadził na sobie.

– Zdziwiająca! – Poruszyła biodrami, a z piersi Boba wyrwało się głębokie westchnienie. Rozpięła mu koszulę i zaczęła wodzić dłońmi po fascynującym ją ciele.

Całowali się, czując miękkość swych ust, języków. Oddychali coraz szybciej. Ruchy dłoni i ust stały się brutalniejsze, bardziej natarczywe.

Mając więcej miejsca, mogli eksperymentować. Bob przyciągnął nogi Jo tak, że obejmowała go nimi i powoli wstał. To wywarło na niej należyte wrażenie.

– Jesteś naprawdę silny! – zawołała z podziwem.

– Teraz mogę zrobić coś niewiarygodnego – pochwalił się. – Nawet wstać z sofy, dźwigając ciebie. Może już nigdy nie będziesz świadkiem takiego fenomenu. Przypominaj sobie od czasu do czasu, że kiedyś naprawdę to zrobiłem!

Roześmiała się i odrzuciła głowę do tyłu tak, że jej rude włosy rozsypały się w nieładzie. Pocałował ją w szyję.

- Wyglądasz, jak podczas Halloween.
- Jak wiedźma? – zapytała z niedowierzaniem.
- Zaczarowałaś mnie.

- Nie. Po prostu chętnie weszłam z tobą na stryszek, a potem do piwnicy.
- Chętnie?
- Nie zauważyłeś, że jestem wokół ciebie owinięta prawie tak bardzo, jak tylko można?
- Prawie? To znaczy, że można jeszcze bardziej? – udał żywe zainteresowanie.
- To ty jesteś nauczycielem.
- Nie. Znam się tylko na komputerach i samochodach.
- Uwierz mi, także na całowaniu i seksie – zapewniła go.
- Daj mi to na piśmie, ze złotą pieczęcią.
- I z podpisem?
- Oczywiście!
- A potem całe miasteczko będzie o tym plotkować? Moja reputacja legnie w gruzach.

Roześmiał się i rozsunął bardziej jej nogi, tak, żeby ześlizgiwała się powoli w dół, aż stopy dotkną posadzki. To było bardzo zmysłowe.

Wodził rękoma po całym jej ciele; jego pocałunki stały się bardziej natarczywe. Przytrzymał jej pośladki, najmocniej jak umiał. Jego ciało rozpałało żarliwe pożądanie.

Szła z trudem, na miękkich nogach, gdy wreszcie poprowadził ją do sofy. Położył się z nią, jak mężczyzna z kobietą. Kochali się delikatnie, rozkosznie, aż wreszcie zwarli się, by osiągnąć szczyt i wstąpić do raju.

Odpoczywali, a Bob delikatnie odsuwał włosy z twarzy Jo. Gdy mogli już spokojniej oddychać, uśmiechnęli się do siebie, a ich pocałunki stały się wyrazem hołdu składanego sobie wzajemnie.

Minęło wiele czasu, nim odszukali swe porozrzucone ubrania i nałożyli je. Pocałowali się jeszcze raz, aż wreszcie Bob wyjął klin blokujący drzwi i bezszelestnie weszli po schodach. Zgasili światło, wyłączyli telewizor i pozamykali drzwi prowadzące na zewnątrz. Pocałowali się lekko i rozeszli do swych pokoi.

Teller obserwował ich, ukryty w mroku korytarza.

Bob i Jo stwierdzili ze zdziwieniem, że Teller stał się tak trudny, jak w dniach, kiedy go poznali. Nie wiedzieli, co było przyczyną. Spoglądał nienawistnie na Boba, kłócił się z Jo. Odmawiał wykonywania jakiegokolwiek pracy w domu i znów zaczął wagarować.

– Co się dzieje z Tellerem? – zapytał Bob starszych chłopców, jednak ci tylko wzruszyli ramionami.

Poinformowany telefonicznie Salty sugerował, że może ktoś go obraził, poniżył, że może zaszło coś, co chłopcem wstrząsnęło?

Bob i Jo nie wiedzieli. Nie mogło chodzić o nieobecność rodziców, gdyż ci wyjechali już przeszło tydzień wcześniej.

– A co ze szkołą? Może tam ma jakieś kłopoty? – dopytywał się ojciec.

– Nie – odparła Jo. – Naprawdę dobrze daje sobie radę.

– Coś go dręczy. Musicie odkryć przyczynę, zanim – stracimy to, co już zyskaliśmy. Czy powinniśmy wrócić do domu?

– Nie, jeszcze nie – stwierdził Bob. – Dajcie nam kilka dni, a zorientujemy się, o co chodzi. Nie chciałbym wam zepsuć wakacji.

– Są wspaniałe, przeżywamy drugi miodowy miesiąc. Twoja matka nic, tylko flirtuje.

– Moja matka!

Salty wybuchnął śmiechem. Felicja odebrała mu słuchawkę.

– Jak tam próby, kochanie?

– Znamy już role na pamięć. Wszystko przebiega tak gładko, że przedstawienie na pewno okaże się katastrofą.

– To znaczy, że będzie świetne. Nie mogę się doczekać. Poza tym tęsknię za domem.

– Więc wracaj – poradził praktycznie Bob.

– No, może aż tak bardzo nie tęsknię. – Roześmiała się swym cudownym, gardłowym śmiechem.

Dzieci brały kolejno słuchawkę; każde z nich miało Brownom coś do powiedzenia. Teller trzymał się na uboczu.

– Teraz twoja kolej – przywołał go w pewnej chwili Bob.

Chłopak podszedł i rzucił oschle do słuchawki:

– Do widzenia. – Oddał słuchawkę Bobowi i wyszedł.

– Bob? – zapytał Salty. – Chyba macie poważny problem. Obserwuj Tellera. On może się załamać, a jeśli tak, wróci do Chicago.

– Będę uważał.

– Wiesz oczywiście, że on się zakochał w Jo?

Bob poczuł, że został przygwożdżony.

– Nie przeszło mu jeszcze?

– Każdy idiota wiedziałby, że nie.

– Aha – odpowiedział Bob.

– Co to ma oznaczać?

– Już wiesz.

– Co?

– To, co wie Teller i ja.

Tak więc zdradził ojcu swe uczucia żywione wobec Jo, zanim jeszcze w gruncie rzeczy powiedział o tym jej samej. Uśmiechnął się do dziewczyny, mówiąc rodzicom „Do widzenia”. Delikatnie odłożył słuchawkę i wyruszył na poszukiwanie Tellera.

Rozdział 8

Niektórych problemów nie można rozwiązać w ciągu jednego dnia, jednak Bob znał już przynajmniej przyczynę buntu Teller.

Zwołał rodzinne zebranie, jednak Teller nie przyszedł. Bob poinformował wszystkich o planowanej wycieczce, połączonej z poszukiwaniem choinki. Omawiali kwestie podarunków, jakie dadzą innym jako rodzina, mówili o przygotowaniach do przedstawienia. Domyślając się, że Teller podsłuchuje ukryty w mroku korytarza na górze, Bob powiedział wszystkim, żeby zachowywali się grzecznie wobec brata, który przechodzi ciężkie chwile.

– Ludzie mają różne problemy – przemawiał. – Może już tego nie pamiętacie, ale każde z was przeżyło wiele, zanim trafiliście tutaj. Teraz jesteście zadowoleni...

– Chwileczkę – przerwał mu Saul, który lubił oponować.

Pozostała czwórka zaczęła sykać i kazała mu siedzieć cicho.

– W zasadzie zadowoleni – poprawił się Bob.

– W zasadzie. – Saul wyraził zgodę na takie sformułowanie.

Dzieci wybuchnęły śmiechem, a Bob miał nadzieję, że postawa tej grupki udzieli się Tellerowi.

– Teller jest w porządku. Mamy nadzieję, że zostanie tu, jako jeden z nas – ciągnął. – Słyszysz mnie, Teller? – zawołał nagle w kierunku schodów.

Odpowiedziała mu cisza.

Po zebraniu Bob bezskutecznie szukał chłopaka. Poprosił o pomoc inne dzieci. Okazało się, że nie ma go w domu.

– Uciekł? – zapytała niespokojnie Jo.

– Nie wiem.

Do pokoju wszedł Ben.

– Znalazłem jego buty i kurtkę. Bez tego nie mógłby daleko zajść.

Bob wyszedł na ganek, a pozostali domownicy tłoczyli się w drzwiach. Niedawno spadło trochę śniegu, a w alejce nie było widać żadnych śladów stóp. Można jednak było dojrzeć lekko przysypane śniegiem wgłębienia prowadzące w kierunku zabudowań gospodarczych.

– Chyba poszedł do stodoły – stwierdził Bob. – Ben, mógłbyś znieść na dół jego kurtkę i buty?

– Jasne.

Bob ubrał się ciepło, gdyż wieczór był bardzo mroźny. Wziął rzeczy Teller

koc. Dostrzegł Jo, która wyłoniła się z kuchni z dużym blaszanym pudełkiem.

– Co to jest?

– Nie zjadł kolacji i...

– Nie wziął też do szkoły drugiego śniadania – przerwała jej jedna z dziewczynek.

Bob skinął głową.

– Co jest w środku tego pudełka? – zapytał Jo.

– Kanapki, ciasteczka, jabłko, termos z gorącą zupą i mleko.

– Świetnie. Mam nadzieję, że go znajdę.

Dzieci zaczęły się ubierać, jednak Jo powstrzymała je.

– Niech Bob pójdzie sam. Możecie wyjść później, kiedy już znajdzie Tellera.

– Ja powinienem pójść – sprzeciwił się Saul. – Jestem w jego wieku i mogę z nim porozmawiać jak chłopiec z chłopcem. Uśmiechnął się, dając do zrozumienia, że tak naprawdę to jest już dorosły.

– Później. – Jo nie ustąpiła.

– Dorośli zawsze wygrywają – westchnął Saul.

– Trzymaj kciuki, żeby mi się udało – poprosił Bob.

Bob poszedł do stodoły, jednak Tellera tam nie było. Przynajmniej nie mógł go znaleźć. Pomyślał o zmarzniętym chłopcu i zaniepokoił się jeszcze bardziej. Gdzie on może być? W furgonetce?

Trzymali ją w szopie, razem z traktorem. Bob był tak pewien tego, że chłopiec schował się w stodole, że nie zwrócił uwagi na nieznaczące zagłębienia prowadzące do szopy. Teraz je zauważył i ruszył ich tropem.

Zawahał się. Potem zapukał i zawołał:

– Teller?

Uprzedził w ten sposób, że nadchodzi; potem otworzył drzwi szopy. Rozglądał się po ciemnym wnętrzu.

– Uznaliśmy, że musisz być głodny, skoro nie zjadłeś kolacji. Przyniosłem ci też ubranie i koc, choć byłoby lepiej, gdybyś spał w domu. Chodź, tu jest zimno – przemawiał łagodnie.

Odpowiedziała mu cisza.

Bob podszedł do furgonetki; stwierdził, że jest zamknięta. Odłożył koc, ubranie i jedzenie, wyjął z kieszeni kluczyki i otworzył drzwiczki. Wsiadł, uruchomił silnik i włączył ogrzewanie. Obejrzał się i zobaczył skulonego Tellera.

– Przyniosłem ciepłe ubranie – zaczął niepewnie.

– Dziewczęta i Jo przygotowały ci coś do jedzenia. Na pewno jesteś głodny.

Weź, w środku jest gorąca zupa.

– Bob wyciągnął w kierunku Tellerą rękę, w której trzymał termos.

Teller nie drgnął, jednak Bob dostrzegł w oczach chłopca błysk, który świadczył, o tym, że jedzenie nie jest mu obojętne. Postawił termos na tylnym siedzeniu. Potem starannie ułożył koc, ubranie i buty Tellerą na siedzeniu z przodu.

Powinien wiedzieć, że cała rodzina chce, żeby było mu ciepło, pomyślał Bob, jednak nie powiedział tego na głos.

Wyłączył silnik.

– Nie mogę zostawić go na chodzie. Zatrulbyś się spalinami. – Wyjął kluczyk ze stacyjki i włożył do kieszeni.

– Jesteś dla nas ważny – dodał łagodnym głosem.

– Wiemy, że coś cię gnębi, ale nie wiemy co. Dzieci niepokoją się o ciebie; chciały tu przyjść. Jo martwi się, że opuszczasz lekcje. Ona uważa, że jesteś bardzo bystry. – Przerwał, a po chwili podjął: – Teller, przeżyłeś bardzo ciężkie dwanaście lat. To już minęło.

Dowiodłeś, że potrafisz żyć w rodzinie i poradzić sobie w szkole. Jesteś normalny i inteligentny. Masz szczęście: możesz rozwiązać wszystkie swoje problemy, co wymaga tylko trochę pracy. Możesz pokierować swoim życiem, żeby było takie, jak zechcesz.

Zapadła cisza. Bob powoli odwrócił się i ruszył w kierunku drzwi.

– Łatwo ci tak mówić – rzucił niespodziewanie Teller.

Bob obejrzał się.

– Łatwo? Niech ci będzie. Wróć, kiedy zechcesz.

Drzwi domu zostawimy otwarte. – Po tych słowach opuścił szopę.

Wszyscy czekali przy drzwiach. Gdy Bob nadchodził, wyszli na ganek i zaczęli zarzucać go pytaniami.

– Wracajcie do środka! Poprzeziębiacie się! – złał dzieci.

Żadne nie zwróciło na to uwagi.

– Czy on tam jest? – pytały.

– Tak, w furgonetce.

Bob nie pozwolił dzieciom wyglądać przez okno. Kazał młodszemu pójść na górę i zająć się czytaniem albo w coś pograć. Saul, Ben i Jake odrabiali lekcje przy kuchennym stole. Bob chodził tam i z powrotem. Pani Thomas robiła na drutach, od czasu do czasu kierując na nich uważne spojrzenia.

Jo porządkowała skarpetki. Dobierała je parami, a te, które nie miały pary, odkładała na bok.

Gdy nadeszła pora kładzenia starszych dzieci spać, Teller jeszcze się nie pojawił.

– Chyba powinienem wyjść i pogadać z nim – stwierdził Saul.

Bob spojrział na niego.

– Dobrze. Nie naciskaj zbyt mocno, nie upieraj się.

No i nie zachęcaj go przypadkiem do odejścia.

Saul w odpowiedzi tylko się roześmiał. Włożył kurtkę, owinął szyję szalikiem w taki sposób, jak miał w zwyczaju Salty. Czuł się dorośle.

– Powodzenia – rzucił Bob.

– Sugerowałbym – odparł Saul, naśladowując sposób mówienia dorosłych – żeby nie było tu nikogo na wypadek, gdyby Teller ze mną wrócił.

– Dobrze pomyślane.

Pani Thomas słuchała, stojąc w drzwiach saloniku. Saul wyszedł na ganek i ruszył do szopy po śladach Boba.

– Idźcie poczytać w łózkach – polecił Bob innym dzieciom.

– Jesteś dobrym człowiekiem, Bob – powiedziała nagle pani Thomas. W jej głosie zabrzmiało niekłamane zdziwienie.

Ben zagonił dzieci na schody, a pani Thomas ruszyła za nimi.

Jo podeszła do Boba, objęła go i przytuliła głowę do jego piersi.

– Rzeczywiście, jesteś dobrym człowiekiem – zgodziła się z panią Thomas. – Co mu powiedziałaś?

Zrelacjonował jej jak najdokładniej przebieg rozmowy z Tellerem.

– Bardzo żałuję, że nie ma tu Salty'ego – dodał. – Czy wiesz, że to ty jesteś przyczyną tej małej rewolucji?

– Niczego nie zrobiłam!

– Wystarczy, że oddychasz. – Objął ją mocniej.

– Nie mogę nawet oddychać, kiedy mnie tak trzymasz.

– Chodź, sprawdzimy piec – poprosił.

– Już sprawdzaliśmy.

– Tak, ale w zimie musimy o niego szczególnie dbać.

– Nie przypominam sobie, żebyś go choć dotknął. Nawet nie próbowałaś.

– Tym bardziej powinienem to zrobić teraz.

– Musimy pójść do naszych pokojów – oponowała.

– Chodź do mojego.

– Nie, nie teraz.

Westchnął. Musiał pozwolić jej odejść.

– Może ja tu zostanę? – zaproponował. – Jeśli nie będzie nikogo, Teller poczuje się jak trędowaty.

– Naprawdę nie wiem – przyznała Jo. – Skoro Saul uważa, że nie powinno tu nikogo być... On chyba wie najlepiej...

– Na wszelki wypadek poczytam gazetę w salonie. Dobranoc, Jo.

– Dobranoc. Jesteś dobrym człowiekiem i wiesz, jak postępować z dziećmi.

– Ze mną nie było chyba takich kłopotów.

– Powinieneś widzieć swoich rodziców w lecie, przed twoim powrotem do domu. Naradzali się, jak działać, jak ci pomóc, jak postępować w różnych sytuacjach...

– Nie wiedziałem. Pocałuj mnie na dobranoc.

Zrobiła to i odeszła.

Bob usiadł przy kominku w salonie. Dołożył drewno do ognia i wygodnie wyciągnął się w fotelu.

Chyba Saul nie zdecyduje się uciec razem z Tellerem, pomyślał. Czy ma kluczyki od furgonetki? Od kiedy mieszka u Brownów? Przybył tu, kiedy miał cztery lata, chociaż... do diabła, kto to może wiedzieć? Uciekają nawet dzieci, które mieszkały od urodzenia ze swymi rodzicami.

Po śniegu dźwięk niesie się szczególnie dobrze. Bob usłyszał odgłos otwieranych drzwi szopy i... kroków. Kroków jednej osoby. Odłożył nie przeczytaną gazetę. Wstał, podszedł do okna... Nie, są obaj! Śmiali się, skakali, sprawdzając, czy dotrą do domu po śladach dłuższych nóg Boba, nie robiąc nowych wgłębień.

Bob poczuł ogromną ulgę! Wszedł do kuchni i zaczął udawać, że wyciera naczynia. W drzwiach kuchni stanął Saul, a za nim, nieco z tyłu, Teller. Zdażyli już się rozebrać.

– Idziemy na górę – poinformował Saul. – Dobranoc.

Bob przełknął ślinę, zanim odpowiedział na pożegnanie.

Machinalnie ustawiał naczynia w kredensie. Zastanawiał się, czy Salty martwił się tak kiedykolwiek o któreś ze swoich dzieci. Bob pamiętał tylko śmiech i pogodny nastrój. Ale... Salty nieomylnie wiedział, kiedy coś powiedzieć, a kiedy milczeć. W najtrudniejszych chwilach zawsze zachowywał spokój.

Bob przypomniał sobie sytuacje, w których ojciec musiał traktować dzieci surowo. Pamiętał to, lecz nie mógł sobie przypomnieć przyczyny.

Co zrobiłby Salty dziś? Zaciągnął siłą Tellera do domu? Przecież postąpił tak kiedyś ze mną, przypomniał sobie Bob. Skąd można wiedzieć, kiedy mówić, kiedy

milczeć, a kiedy stosować siłę? Dzieci to zaraza!

Uporządkował palenisko, pogasił światła i sprawdził, czy wszystkie drzwi są zamknięte. Przypomniawszy sobie, że kiedyś w ogóle nie zamykali domu... Kiedy wspinał się po schodach, ogarnęło go przygnębienie. Sprawdził, czy małe dzieci śpią i wszedł do swojego pokoju. Podniósł słuchawkę i połączył się z Nowym Jorkiem, z hotelowym pokojem rodziców. Nie zastał ich.

– Wszystko w porządku? – usłyszał kobiecy szept. Podskoczył i odwrócił się szybko.

– Jo? – spytał zduszonym szeptem.

– Czekałam i czekałam. Tak się zmęczyłam, że musiałam wejść do łóżka, żeby odpocząć.

– Czy naprawdę tu jesteś?

– Tak.

Nie wyobrażał sobie nawet, że potrafi tak szybko odrzucić kołdrę. Położył się, przyciągnął Jo do siebie. Była naga.

– Dlaczego nie ogrzałaś mojej strony łóżka? – zapytał z wyrzutem.

Obruszyła się, lecz Bob już zaczął ją całować.

Wykręciła głowę, żeby móc zapytać, czy Teller jest jeszcze w szopie. Poinformował ją, że Saul przyprowadził go do domu.

– Dzięki Bogu! – zawołała. – Już myślałam, że będę musiała zanosić mu co godzinę kakao.

– Ja chciałem zanieść mu śpiwór i pokazać, jak dobrze śpi się w stodole: na sianie, w pomieszczeniu ogrzonym ciepłem zwierząt. Przypomniałem sobie, że obraz mojego szczęśliwego dzieciństwa był; trochę fałszywy. Pamiętam, że zdarzały się czasem konflikty z Felicją i Saltym... Wcale nie takie drobne.

– Wiedziałam, że czujesz się w stodole jak w domu. Sądziłam, że to z powodu niewinnych pańienek, które zwabiałeś tam... pod pretekstem zbierania jajek.

– Nie. Stodoła była moim schronieniem. Interesujące: gdy Felicja poprosiła, żebym zagrał w przedstawieniu, odmówiłem. Powiedziała Salty'emu, że mnie potrzebuje i wtedy... uciekłem do stodoły. Uciekałem tam w dzieciństwie. Dopiero dziś uświadomiłem sobie, ile troski przysparzałem rodzicom. Tak, ciężko im było mnie wychować.

– Mój Boże, Bob, ty dojrzewasz – szepnęła.

– Siwieję? Mogę w to uwierzyć.

– Nie, żartowałam. Rzeczywiście, to zaskakujące stwierdzić, że przyprawiało się rodziców o ból głowy. Dzieci muszą kogoś winić za swoje niepowodzenia, a

rodziców mają pod ręką. Jednak, Bob, kłopoty z dziećmi są zawsze wynagradzane przyjemnościami. Pomyśl, jak starsze dzieci martwiły się o Teller, jak chętnie Saul ci pomógł. Czyż nie jesteś z niego dumny?

- Skinął głową, jednak po chwili pokręcił nią przecząco.
- Pomyśl tylko! Ludzie sami świadomie decydują się na dzieci!
- Sama chciałabym mieć kilkoro.
- Żal mi mężczyzny, który będzie utrzymywał ciebie i to stadko.
- Będzie zachwycony. Wszystkim.
- Mogę tylko zrozumieć, że kochałby cię.
- Naprawdę? Bardzo?
- Co robisz w moim łóżku, golusienka?
- Może mam zakurzony szlafrok i nie chciałam brudzić ci nim pościeli?
- Cóż za roztropność.

Pogładziła go po włosach.

- Wiem, że jesteś zmęczony. Musiałam usłyszeć, jak poszło z Tellerem.

Dobranoc, Bob.

- Dokąd się wybierasz?
- Do łóżka.
- Bezmyślna kobieto! Przecież jesteś w łóżku!

Zaśmiała się grzecznie, jednak spróbowała wstać.

Ponieważ Bob trzymał ją mocno, jej ruchy sprawiły mu zmysłową przyjemność.

- Puść mnie – poprosiła.
- Naprawdę wierzysz, że mógłbym zrobić coś tak głupiego? Mam cię tu i nie puszczę.
- Dlaczego?
- Pokażę ci.

Zrobił to, jednak zanim zrozumiała w pełni, minęły długie chwile wypełnione rozkosznymi eksperymentami. Wyjaśniał jej różnice między sobą a nią i... ilustrował swe słowa praktycznymi przykładami. Ponieważ, poza słabym odbłaskiem śniegu, w pokoju panowały ciemności, musiał kierować jej dłońmi, żeby mogła wszystko poczuć. Trzymał nadgarstki dziewczyny i wodził jej dłońmi po swoim ciele. Tłumaczył jej, że robi to powoli, gdyż jest zakłopotany i czuje wstyd.

Podniósł Jo i umieścił na szczycie swego rozpalonego ciała. Wyjaśnił, że postępuje tak, ponieważ zajęła ulubioną połowę jego łóżka. Zawsze spał w tym

właśnie miejscu i nie zasnąłby w żadnym innym.

Nie uwierzyła mu.

– No cóż – wzruszył ramionami – skoro nie chcesz, żebym zasnął, to trudno.

Zsunął Jo na łóżko i umieściła dokładnie w ulubionym miejscu, o którym przed chwilą mówił.

– Oczywiście – powiedział – nie usnę i będę znudzony. Kto wie, co zrobię, żeby przerwać ten stan. Kiedy już policzę wszystkie barany, będę przecież musiał coś robić. – Zademonstrował jej gorliwie próbkę tego czegoś. – Rozumiesz?

– Powiedz, co zrobisz? – Mówiła cicho, trochę niewyraźnie. Była gorąca i niespokojna; poruszyła nogami, zaczęła szybciej oddychać.

– No cóż, możesz chyba liczyć na to, że będę się z tobą kochał.

– Tak?

– Właściwie, jeśli jesteś gotowa, mogę zacząć już teraz, zanim policzę barany.

– Jestem. Prawdopodobnie.

– Zobaczymy. Jak mam ci opisać sposób, w jaki zacznę...

Zaatakowała go! Gwałtownie przewróciła na plecy, pieściła; za trzecim razem udało się jej nawet nałożyć mu prezerwatywę! Szokujące.

Leżał sztywno, nieruchomo. Zapytała, dlaczego jest taki napięty. Specjalnie stawia opór?

– Jestem wstrząśnięty twoim zachowaniem – odpowiedział pruderyjnie.

– Skoro już i tak jesteś wstrząśnięty, nie muszę uważać, żeby cię nie zgorszyć – stwierdziła.

– Nie – odparł słabym głosem i drgnął.

– Dlaczego wykonujesz takie dziwne ruchy? – zapytała.

– Próbuję strącić cię z mego niewinnego ciała.

– Ale przecież trzymasz mnie tak, że będę miała siniaki.

– Chodzi o to, żebyś nie spadła na podłogę, nie złamała kręgosłupa i nie wystąpiła z powództwem przeciwko Brownom. Mogłabyś się domagać odszkodowania.

– Cóż za ostrożność.

– Zauważyłem, że przed chwilą nałożyłaś mi prezerwatywę – powiedział z naciskiem – Zrobiłam to... niezręcznie?

– Łaskotało. – Postarał się, żeby jego słowa zabrzmiały frywolnie.

– Och! Przepraszam! Nie chciałam, żebyś zaszedł w ciążę i zmusił mnie do małżeństwa.

Roześmiał się.

Nakryła mu dłonią usta.

Przetoczył się na nią i zaczął się z nią kochać. Wykonywała podniecające, rozkoszne ruchy; jęczała tak, że jego męska duma rosła.

Ich ciała ocierały się o siebie, szukali rękoma szczególnych miejsc, żeby dotykać, gładzić, naciskać. Na przemian dyszeli ciężko i całowali się; ich języki tańczyły wspólny, zmysłowy taniec.

Przysunęli się niebezpiecznie blisko do krawędzi łóżka. Musieli na chwilę przerwać, a potem rzucili się na siebie ze zdwojoną energią. Jednocześnie zamarli w ekstazie, a po chwili nieznaną siłą zaczęła nimi rzucać jak lalkami z gałganków.

Znieruchomieli. Leżeli oddychając głęboko, uśmiechnięci.

– Ach, Jo – wykrztusił.

– Tak – szepnęła.

Drżącą ręką odgarnął jej z twarzy wilgotne od potu włosy.

– Było wspaniale.

– Uhm. – Z trudem podniósł głowę i spojrzał na Jo z góry. Pocałował ją delikatnie. Uniósł się i opadł na łóżko obok dziewczyny. Chciał cofnąć rękę, którą położył na jej piersi, lecz nie mógł się do tego zmusić. Zapadli w sen.

Bob obudził się jeszcze w ciemnościach. Wodził rękoma i ustami po ciele Jo. Sprawiało mu to ogromną przyjemność, jednak nie chciał jej obudzić. Mimo to przeciągnęła się i ziewnęła. Spojrzała na niego i wyszeptwała:

– Co ty właściwie robisz?

Oderwał usta od brodawki jej piersi i odpowiedział:

– Leżysz na moim ulubionym miejscu.

– Naprawdę, znów?

– Zepchnęłaś mnie na krawędź łóżka! Musiałem wstać i nago, w tym zimnym pokoju, obejść łóżko dookoła.

– Bujasz!

– Nie.

– Tak!

– No cóż, chyba muszę jednak zwolnić dla ciebie miejsce.

– Radziłabym nie wychodzić z łóżka; jest zimno. Możesz się przeze mnie przetoczyć.

– Cóż za szlachetność! – Objął ją ramionami.

– Dlaczego masz na sobie prezerwatywę? – zapytała Jo. Widać było, że czeka na jego odpowiedź.

– Może jestem lunatykiem?

– Nie – odrzuciła to wyjaśnienie.

– Może musiałem coś na siebie włożyć, kiedy obchodziłem łóżko w tym zimnie?

Starła się nie roześmiać.

– No cóż, skoro i tak nie śpimy, moglibyśmy to jakoś wykorzystać.

– Posprzątam w pokoju?

– Nie.

– Poddaję się.

– Właśnie to chciałem usłyszeć.

– Na pomoc! – szepnęła.

– Właśnie próbuję ci pomóc, ty nienasycona kobieto!

Pracował tak długo, aż pomógł im obojgu.

Potem Jo oświadczyła, że nie może spać w pokoju Boba; ktoś mógłby rano zobaczyć, jak od niego wychodzi.

Namawiał ją, by została, choć wiedział, że nie powinien. Całował ją na pożegnanie tak długo, że musiał poszukać następnej prezerwatywy.

Wreszcie wypuścił Jo z łóżka i pomógł jej włożyć szlafrok. Sam też okrył się szlafrokiem.

– Chyba nie wybierasz się do mojego pokoju? Nie możesz.

Nie odpowiedział, a tylko spojrzał na nią uroczyście. Pocałowała go w usta, jednak odeszła, zanim zdążył ją zatrzymać. Stał w drzwiach pokoju patrząc, jak Jo idzie korytarzem, a potem znika za drzwiami swojej sypialni.

Zdjął szlafrok i wrócił do pustego łóżka. Leżał z rękami pod głową, patrzył na sufit i rozmyślał. Czy Jo mnie kocha? Czy mogę znów zaryzykować? Czy tym razem wszystko ułoży się inaczej?

Rozdział 9

Po zmierzeniu szerokości drzwi frontowych i wysokości głównego holu, Bob i Jo wyruszyli na poszukiwanie choinki. Zostawili furgonetkę przy kamieniu, wyznaczającym granicę posiadłości, gdyż woleli poruszać się pieszo po lesistym terenie. Okazało się, że jodły rosnące w obrębie posiadłości Jo są zbyt wysokie, a pokoje domu Brownów zbyt niskie.

Ziemia Jo, mimo że zima ogołociła drzewa z liści, nie była brzydka. Przeszli przez łąkę i pas gładkiego lodu, mijali porozrzucone kępkami drzewa i wiatrołomy. Zaciągnęli do furgonetki kilka pni, które mogli udźwignąć, żeby później porąbać je na drewno do kominka. Bob nie był pewien, czy wystarczy mu energii, by bawić się w drwała; powiedział, że zacznie uczyć chłopców tej roboty.

Znaleźli ładną jodłę odpowiedniej wielkości, jednak miała tak sterczące igielki, że kłubały podczas ubierania i wieszanie świecidełek nie stanowiłoby żadnej przyjemności. Wszystko to razem nie wyglądało zbyt zachęcająco.

Obiecali już jednak dzieciom wycieczkę, a te poczyniły przygotowania: pod kierunkiem Jo ponawlekały ziarna kukurydzy i żurawiny na sznurki, żeby zawiesić je dla ptaków w tej dzikiej okolicy. Dzieci przygotowały też dodatkowe sznurki; umieszczą je na drzewie przed domem Brownów, żeby widzieć przez okno, jak ptaki zjadają świąteczny podarunek.

Wreszcie Bob i Jo zabrali dzieci na zimową wycieczkę. Dzieci badały teren, ślizgały się na lodzie, biegały po łące i bawiły w lisa i gęsi w wydeptanym w śniegu zagłębieniu.

Saul był wspaniałym lisem. Dzieci wrzeszczały i wybuchały śmiechem. Nikomu nie udało się złapać Teliera, za to Bob wytarzał dzieci w śniegu. Potem Ben i Saul wytarziali Boba. Ten wołał o pomoc, a inne dzieci pękały ze śmiechu. Bawiły się świetnie, a potem pochłaniały jedzenie z niebywałym apetytem.

Oczywiście, wszystkie dzieci chciały zobaczyć odrzuconą choinkę; one także uznały, że jest zbyt kłująca. Były rozczarowane, że same nie ścięły drzewka, mimo to wszyscy spędzili wspaniały dzień. Wrócili do domu zmęczeni i zadowoleni.

Wieczorem Jo i Bob pojechali na plantację i kupili jodłę z korzeniami. Chcieli zasadzić ją po świętach, w miejsce powalonego wiatrem drzewa przy północnej ścianie domu Brownów. Zakupione drzewo było zbyt duże, żeby zmieścić się do furgonetki; dostarczono je następnego dnia i ustawiono pośrodku głównego holu.

Gałęzie z jednej strony nieco opadły, złamał się czubek, dlatego właściciel

plantacji obniżył cenę i obiecał pomoc przy sadzeniu po Nowym Roku.

Dzieci robiły kilometry łańcuchów z czerwonego i zielonego papieru. Gotowe łańcuchy rozwiesiły w całym domu. W skrzynkach na strychu dorośli znaleźli stare, czerwone, aksamitne wstążki; dzieci ozdobiły nimi poręcze. Nad drzwiami powiesiły jemiołę. Dziewczynki chichotały, jednak Bob nie przejmował się tym; stanął pod jemiołą i zbierał pocałunki.

– Musicie uszanować tradycję – powiedział im i ścigał je, nie zważając na piski i śmiechy. Gdy udawał, że nie może ich znaleźć, gdy szukał pod kanapą i fotelami, przebiegały przez pokój albo hałasowały, żeby zwrócić na siebie jego uwagę.

Nadszedł dwudziesty grudnia i rozpoczęły się ferie. Drzewko było już udekorowane; gałęzie uginały się wprost od licznych ozdób. Niektóre zabawki wyglądały dość dziwnie.

Lampki działały; mrugały z różną częstotliwością. Wyglądały niesamowicie!

Od czasu do czasu koty próbowały wspiąć się na drzewo; dzieci przeganiały je ze śmiechem.

– Oczywiście, że chcą na nie wejść – tłumaczył Bob. – Nie widziały w życiu wielu tak obwieszonych drzew. A już światełka... – Przyniósł jednak z narzędziowni trochę drutu i korzystając z pomocy chłopców skonstruował prowizoryczne ogrodzenie; pomogło, ale koty i tak ciągle ponawiały próby sforsowania przeszkody. Gdy tylko pojawiały się jakieś trudności, Bob spoglądał na Jo i robił zęza. Zaczynała wtedy tak bardzo chichotać, że wszyscy pytali, co ją tak śmieszy?

– Bob – odpowiadała.

Dzieci kierowały spojrzenia na poważną już twarz Boba i nie miały pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi. Jo skręcała się ze śmiechu.

Pewnego razu Jake wpuścił do domu psy, żeby nie marzły na dworze. Wszyscy musieli je ścigać i ściągać przerażone koty z szaf i półek. Zrobił się istny dom wariatów. W zamieszaniu Ben i Teller zderzyli się, upadli i wybuchnęli śmiechem.

Pani Thomas przyglądała się wszystkiemu uważnie.

– Przecież inni ludzie zachowują się chyba w bardziej cywilizowany sposób – zauważył Bob.

– W naszym domu na pewno – oświadczyła wyniośle Jo. '

– Przecież jest naprawdę miło i zabawnie – wtrąciła pani Thomas.

Kochankowie spojrzeli na siebie i wybuchnęli śmiechem. Zawtórowały im dzieci, a pani Thomas uśmiechnęła się łagodnie.

Przy ubranej choince ustawili płyty z kolędami. Pili ciepły sok jabłkowy z

laseczką cynamonu i rozkoszowali się pączkami posmarowanymi marmoladą. Rozłożyli koce przed kominkiem, rozmawiali.

Jo zgasiła światło, zostawiając tylko jedną lampę i pokazała dzieciom, jak za pomocą dłoni wyczarować cienie gęsi, osiołka, łabędzia; jak sprawić, by poruszały się i wyglądały jak prawdziwe.

Przez następne dni wszyscy układali pod choinką starannie zapakowane prezenty.

– Nie wolno dotykać – powtarzały dzieci.

W kościele Teller usiadł obok Saula, daleko od Boba. Mimo to wyszedł dopiero razem z resztą rodziny.

W ośrodku ustawiono na scenie dekoracje do świątecznego przedstawienia. Można już było przeprowadzać próby generalne. Dzieci z niepokojem mierzyły wzrokiem ogromną przestrzeń prawdziwej sceny.

Jeden z reniferów, Steve, wpełzł na dach, przywarł do komina i zmarł.

– Pomóż mu, Teller – poprosił Bob.

Saul wysunął się do przodu, jednak Bob położył mu rękę na ramieniu.

Teller spojrzał na Steve'a.

– W porządku, pomogę mu. – Rozejrzał się, oceniając sytuację, po czym zwrócił się do Steve'a: – Spójrz na Boba. Jest wysoki, ale przecież nie tak bardzo. Nie masz daleko do ziemi.

Steve rzucił szybkie spojrzenie, upewniając się, że to prawda. Bob przestał się w tym momencie denerwować.

Teller wpadł na pomysł.

– Na dachach starych domów często są poręcze. Moglibyśmy zainstalować coś takiego. Wtedy Steve nie bałby się, że spadnie.

– Dobra myśl – odparł zaskoczony Bob. – Wykombinuję coś.

– Nie – zaprotestował kierownik chóru. – Jesteś potrzebny tutaj. Zostaw to Pete'owi.

– Postawmy przy krawędzi kilka krzeseł – szepnął Saul. – Będzie mniej miejsca, ale to pomoże Steve'owi.

– Znakomity pomysł – pochwalił chłopca Bob. Potem krzyknął do kierownika sceny, żeby pomógł mu wstawić krzesła na górę.

– A jeśli spadną? – zatroskał się kierownik.

– Na dole będą tylko ja i Porter. Będziemy uważać.

Nikt nie kpił ze Steve'a, a ten stwierdził, że krzesła mu pomagają. Ostrożnie przebył swą drogę. Nie spadł.

Na następnej próbie wokół dachu pojawiła się już poręcz. Wyglądała jak te budowane na dachach domów w Nowej Anglii; nie przeszkadzała, a przeciwnie: dodawała scenicznej budowli uroku. Jo poradziła, żeby przybrać poręcz sztucznym śniegiem.

Dzieci były zaciekawione. Przedtem ćwiczyły w zwykłej sali, a teraz okazało się, że dysponują ogromną przestrzenią. Musiały przebywać większe odległości, a głos narratora dochodził do nich z daleka.

Jo nie mogła leżeć na swoim miejscu w łóżku. Chodziła po całej scenie, cierpliwie wyjaśniając dzieciom, jak mają się dostosować do nowych warunków. Robiła to bardzo dobrze.

Narrator sprawował się doskonale. Mówił interesująco, melodyjnym głosem. Miał praktykę, był miejscowym kaznodzieją.

W czasie przerwy Bob stał w kącie, popijając pepsa colę. Gdy duchowny pojawił się obok niego, zapytał nieco złośliwie:

– Czy pastor naprawdę wierzy w Świętego Mikołaja?

Kaznodzieja ciężko westchnął i uśmiechnął się nieznacznie.

– Mikołaj to autentyczna postać. Dodano mu tylko choinkę, renifera i sanie. Uroczą tradycją.

Bob chciał trochę pożartować z pastora, jednak był też ciekaw, co ten odpowie na jego pytanie.

– Jakie to uczucie, kłamać dzieciom o świętym?

– Nie lubię kłamać, ale... co sądzisz o wielkanocnym zajączku podrzucającym pisanki albo o wrózkach? Dlaczego dziwimy się, że w pewnym momencie dzieci przestają nam wierzyć? Kłamiemy przecież przez całe ich dzieciństwo. My wiemy, że to fantazja, ale one nie. Same bujdy.

– Dlaczego jesteś tu i opowiadasz te bujdy?

– A ty? – Kaznodzieja uśmiechnął się do Boba.

– Przez Felicję – westchnął Bob wiedząc, że samo jej imię jest dostatecznym wyjaśnieniem. Dodał jednak: – Powiedziała Salty'emu, że chce, żebym zagrał tętę.

– Tak, to cała Felicja. Ona lubi stwarzać iluzje.

– Dorośli mogą to robić; wiedzą o różnicy między prawdą a fikcją, ale co z dziećmi?

– One także uczą się, czym jest rzeczywistość. Będą rozczarowane, a potem postąpią tak samo z własnymi dziećmi. Tak to już jest. Wróżka, zajacek wielkanocny, Święty Mikołaj i krasnoludki... Ludzie karmią dzieci wieloma fantastycznymi opowieściami. Nie zapominaj też o chochlikach. Może to dobre

przygotowanie do dorosłego życia: uczy niewiary w słowa innych ludzi.

– Mogę się z tym zgodzić.

– Bob, gdy Salty zobaczy, jak w tym przedstawieniu radzi sobie Teller, zrobi mu się ciepło na sercu.

– Tak, rodzice wrócą na przedstawienie.

– Tęsknisz za nimi?

– Podejrzewam, że specjalnie zostawili mnie z tą hałastrą, żebym przestał myśleć o własnych problemach.

– I przestałeś?

– Chyba tak. – Bob uśmiechnął się.

– Całe miasteczko martwiło się o ciebie. Ludzie cieszyli się, że wróciłeś do domu. Zamierzasz zostać?

– Właściwie mógłbym.

– Młodzi mężczyźni są tu potrzebni. Znam paru, którzy uznali, że warto mieszkać w Tempie. Teraz dzieci, które kończą szkołę, nie są już tak zwariowane na punkcie pracy zawodowej jak yuppies. Troszczą się bardziej o stan naszej planety i chyba lepiej kierują swoim życiem. A jednak... to jeszcze żółtodzioby. Potrzebują kogoś bardziej doświadczonego, kto pomógłby im nadać temu miasteczku wyraźniejszy charakter. Spędziłeś kilka lat we wschodnich stanach i znasz się trochę na wielkich interesach. Mógłbyś nas nauczyć, jak przyciągnąć do Tempie przedsiębiorców. Na przykład takich jak ty z tą twoją księgowością.

– Mamy w śródmieściu kilka wolnych budynków, które mogliby wykorzystać. Pomyśl o tym...

– Koniec przerwy – usłyszeli wołanie Jo – spróbujmy jeszcze raz.

Zanim się rozstali, pastor przytrzymał Boba za ramię i poprosił poważnym tonem:

– Zawiadam mnie, gdybym mógł ci w czymś pomóc.

Bob skinął głową, podszedł do Jo i uśmiechnął się do niej.

– O czym tak poważnie rozprawialiście? – zapytała.

– O tym, że zwodzimy kolejne pokolenie niewinnej młodzieży fantazjowaniem o Świętym Mikołaju.

– To znaczy, że według ciebie to wszystko nie jest prawdą? – westchnęła.

Przyłożył dłoń do czoła i jęknął:

– Znów od początku... Później wyjaśnię ci, na czym polegają fantazje.

Tak więc później, w furgonetce zaparkowanej przy wjeździe do posiadłości Jo, zaczął jej tłumaczyć wszystko, co wiedział na temat fantazjowania. Powiedział, że

chciałby ją zobaczyć w czerwonych podwiązках i czarnych siatkowych pończochach ze szwem oraz w pantoflach na bardzo wysokich obcasach.

– Wielkie nieba!

– To już wszystko. W niczym więcej.

– Dostałabym zapalenia płuc! – jęknęła.

– No cóż, uważam, że możemy poczekać do lata.

– Myślisz, że wytrzymasz tak długo?

– Powiedzmy, do wczesnej wiosny? – zaczął się targować.

– Zobaczymy. Będziesz tu jeszcze na wiosnę?

– To bardziej niż prawdopodobne. Zalecam się do pewnej kobiety, która mnie intryguje.

– Dlaczego?

– Nie jestem pewien, czy kolor jej włosów jest naturalny.

– Znów zaczynasz...

– Poza tym, już ją rozbierałem, ale zawsze po ciemku. Chyba jest wstydliva.

– Tak.

– Jak na wstydlivą kobietę... Skoro jesteś taka skromna, nie mogę się doczekać, aż będziesz śmiała.

– Zalecasz się... do mnie?

– Przecież musiałaś to zauważyć, Jo. Dlaczego ciągle myślisz, że tylko z ciebie żartuję?

– A dlaczego miałabym myśleć inaczej?

– Znów zaczynasz? – westchnął. – Jesteś nienasycona!

– Minęło już kilka dni, od czasu gdy...

– Nie kilka! To było przedwczoraj! Poza tym wczoraj zaprosiłem cię przecież do piwnicy, żeby sprawdzić piec!

– Tak, tylko że zeszło z nami całe stado dzieci oraz dwa koty. – Nie posiadała się z oburzenia.

– Skąd mogłem wiedzieć, że dzieci zainteresuje piec?

– W każdym razie mnie piece nie interesują.

– Więc dlaczego zawsze chodzisz ze mną do piwnicy?

– Kusi mnie ta lubieżna kanapa. Zresztą, nie było źle także wtedy, kiedy oparłeś mnie o ścianę...

– Czuję się jak królik.

– A jak czujesz się teraz?

– Nie wiem. Dlaczego nie sprawdzisz?

Zaczęła rozpinąć guziki, zamek błyskawiczny...

– Brr!

– Co się stało?

– Masz zimne ręce.

– Przepraszam.

Jakiś przejeżdżający drogą samochód zwolnił; światło jego reflektorów przebiło mgłę i rozjaśniło sufit furgonetki ponad ich głowami.

– Mój Boże – wykrzyknęła. – To Lee na nocnym patrolu.

– O cholera.

– Czego on szuka akurat tutaj?

– Jest tam kto? – usłyszeli wołanie.

– Lee, co tu, u diabła, robisz? Lee roześmiał się.

– Nie ma nic bardziej interesującego niż ty!

– Chwileczkę, Lee. Musisz przeprosić tę panią. Właśnie prosiłem, żeby za mnie wyszła, a ty nam przeszkodziłaś.

– Och, przepraszam. Przepraszam, Jo.

– Skąd wiesz, że chodzi o Jo? – zapytał Bob.

– A kto by nie wiedział? – Lee wsiadł do swego samochodu, zatrąbił na pożegnanie i odjechał.

– Do rana będzie wiedziało całe miasteczko – zaczął zrzędzić Bob.

– O czym?

– O tym, że ci się oświadczyłem.

– Nie, nie oświadczyłeś się.

– Nie słyszałaś? Powiedziałem Lee, że właśnie proszę cię o rękę.

– O nic nie prosiłeś, tylko mówiłeś o czerwonych podwiązках i czarnych pończochach.

– Właśnie. Nigdy jeszcze nie prosiłem żadnej kobiety, żeby zrobiła dla mnie coś takiego.

– Czuję się zaszczycona.

– Naprawdę?

– Musiałabym sprawdzić.

– To znaczy, że nie jesteś pewna?

– W czerwonym wyglądam okropnie.

– Och, to znaczy... Dobrze, podwiązki mogą być czarne.

Roześmiała się.

– Wiesz doskonale, że mówiłem o małżeństwie. Kocham cię, Josephine

Malone.

– Skąd wiesz?

– Wariuję, kiedy nie mogę cię widzieć choćby przez godzinę. W wypadku całego popołudnia symptomy jeszcze się nasilają. Chcę, żebyś należała do mnie.

– Należę do siebie samej. Nie chcę być własnością mężczyzny.

– Więc ja chcę być twoją własnością – odparł.

Nie odpowiedziała.

– Czy naprawdę potrzebujesz czasu na zastanowienie, czy tylko udajesz nieśmiałą?

– Powinieneś wiedzieć, że nie jestem nieśmiałą.

– Wiem. Próbowałem tylko znaleźć jakąś odpowiedź.

– Nie jestem pewna – przyznała. – Skąd mogę wiedzieć, czy będę w stanie opuścić miasteczko, pojechać w jakieś nieznanne miejsce? Będziesz pracował, a ja zostanę sama. Będę musiała ułożyć sobie życie w nowym miejscu, wśród ludzi, których nie znam, daleko od tych, do których przywykłam przez całe życie.

– A gdybym obiecał, że zostanę tutaj?

– Nie mogę trzymać cię siłą w tym małym miasteczku. Przez wiele lat byłeś przecież wolny...

– A jednak wróciłem do domu, gdy mój świat rozleciał się na kawałki.

– Czy już złożył się w jakąś spójną całość?

– Tak. Jestem wyleczony. Jo, chciałbym mieszkać tu, z tobą. Chciałbym, żebyś zamieszkała ze mną i była moją miłością.

– Skąd mogę wiedzieć, czy nie jestem tylko twoim chwilowym schronieniem? Skąd mogę wiedzieć, czy to prawdziwa miłość, która trwa długo? Powiedziałeś mi kiedyś, że pracowałeś przez całe życie, żeby wydostać się stąd i że nie zostaniesz. Potem kochałeś się ze mną i to ci się spodobało. Teraz nęcisz mnie obietnicami, które są sprzeczne z tym, co mówiłeś wcześniej.

– Nie kochasz mnie?

– Boję się myśleć o miłości. To mogłoby mnie zniszczyć.

– Nigdy cię nie skrzywdzę – przyrzekł.

– A potem? Kiedy już do mnie przywykniesz i nasycisz się seksem? Nie pomyślisz sobie, że schwytałam cię w pułapkę? Ja chcę mieszkać tutaj. Lubię to miasteczko i jego mieszkańców. Ciebie kocham i tak zbyt mocno.

– To dobrze.

– Jednak muszę na siebie uważać – zaprotestowała. – Możesz mnie zniszczyć.

– Och, Jo, na pewno cię nie skrzywdzę. Poważnie. Słowo.

– Może po prostu jestem pierwszą kobietą, która znalazła się w pobliżu, kiedy poczułeś się lepiej. Może chodzi tylko o to, że dobrze nam razem w łóżku. Bardzo tego pragnąłeś, gdy zaczęliśmy się poznawać.

– Nadal pragnę. Zawsze będę z tobą. Kocham cię, Jo.

– Jak dotąd.

– Będę cię kochał przez całe życie. Pamiętasz burzę?

– Jaką burzę?

– Byliśmy wtedy w garażu. Obejmowałem cię i uspokajałem. Powiedziałaś, że burze cię przerażają.

– Po prostu wykorzystałam okazję, żeby zwrócić na siebie twoją uwagę.

– Co? Dlaczego? Josephine, ty wyrachowana bestio!

– Jestem też niezłą aktorką. Poza tym powinieneś wiedzieć, że dawniej często bawiłam się w tej stodole z twoją siostrą, Carol i... z wieloma innymi...

– Co robiłaś z „wieloma innymi”?

– Bawiłam się... całkiem niewinnie. Dlatego wiem, że kroki kozy brzmią tam tak, jak kroki człowieka.

Roześmiał się. Josephine spoważniała:

– Wtedy, w czasie burzy, powiedziałeś mi, że tobie też ktoś pomógł, że się bałeś. Nie mogę sobie tego wyobrazić. Czego ty mogłeś się bać?

– Naprawdę się bałem. Powiedziałem ci prawdę. Ona pomogła mi, zanim wróciłem do domu. Właściwie to ona poradziła, żebym wrócił.

– Kto?

– Psychoterapeutka. – Czego się bałeś?

– Życia.

To wywarło na Jo wrażenie.

– Ty?

– Aha.

– Dlaczego? – zapytała, próbując wyobrazić sobie, jak Bob się boi. Była zakłopotana.

– Byłem taki zgorzkniały – odpowiedział uczciwie. – Nic mi już nie pozostało.

– Zostało ci twoje życie – zakpiła. – I zdrowie.

– Ona powiedziała właśnie to samo.

– A teraz?

– Dobrze mi poradziła. W dużym mieście nie miałem kontaktu ze światem. Wróciłem do domu, do rzeczywistości. No i do ciebie. Kocham cię, Josephine.

– Może tylko dlatego, że obdarzam cię przywilejami. Byłam chętna, mogłam

cię wyleczyć.

Westchnął głęboko.

– Czyż mogłem wiedzieć, że w ogóle istnieją takie kobiety, jak ty? Moja żona robiła tylko to, co odpowiadało jej samej. Bardzo szybko poczułem to na własnej skórze. Czy mogłabyś się tak zachować? Nie tylko mnie nie kochała, ale jeszcze do tego rozwiodła się ze mną i wyrzuciła mnie z pracy. Ona sterowała wszystkim. A ja? Nie mam nic, co mógłbym ci ofiarować. Może tylko ciało i umysł, dobrą wolę i miłość.

– Nie masz pojęcia, jak bardzo chcę, żebyś mnie kochał.

– Udowodnij mi to.

Kochali się tak czule, jak jeszcze nigdy dotąd. Okna furgonetki zaparowały, choć żadne z nich nie wypowiedziało ani jednego słowa. Dotykali się, całowali słodko i delikatnie. Kochały się całe ich ciała. To był zupełnie inny, nowy rodzaj miłości.

Generalna próba kostiumowa przypadała w przeddzień Wigilii Bożego Narodzenia. Pełne kostiumy, gotowe dekoracje. Na scenie stała już ubrana choinka, starannie porozwieszano pończochy na kominku. Zainstalowano łóżka dla dzieci i łóżko dla mamy i taty, do długiego, zimowego snu. Wszystko było gotowe.

Świeżo upieczeni aktorzy znów poczuli się zupełnie inaczej. Szare kostiumy myszy odsłaniały tylko twarze, ukazując czarne kulki udające nosy i wymalowane na policzkach wąsy. Aktorzy grający myszy przytrzymywali niepewnie swe długie ogony.

Dzieci były zmieszane. Jedno z nich stało sztywno, nie wiedząc co robić, inne zaczęło płakać. Małym aktorom myliły się miejsca; przedtem pamiętali twarze, a teraz twarze wyglądały tak, że nie można było się połapać.

– Puście ogony, niech się wloką po ziemi – zwróciła się do myszy Jo. – Nie przejmujcie się nimi. Jeśli ktoś nadeptnie na ogon, właściciel ogona musi tylko chwilkę poczekać. Gdyby ktoś stał dłużej na czyimś ogonie, trzeba się odwrócić i pociągnąć go za ubranie. Na pewno zdziwi się i zejdzie. Róbcie tak przez cały czas, cokolwiek się wydarzy.

Dzieci słuchały w skupieniu tych wskazówek.

– Gdyby któraś z małych myszek zapłakała – kontynuowała Jo – niech jej mama podejdzie, uspokoi ją i zaprowadzi we właściwe miejsce na scenie. Tak będzie dobrze. To przedstawienie rodzinne. Nie martwcie się niczym i nie przejmujcie. A jednak, im bardziej gładko wszystko pójdzie, tym profesjonalniej

będzie wyglądało. Rozumiecie?

Żeby także najmłodsze dzieci mogły wszystko zrozumieć, Jo dodała:

– To tak, jak z włosami. Jeśli nawet kilka znajdzie się nie tam, gdzie trzeba, cała fryzura i tak wygląda dobrze. Gorzej, jeśli wszystkie przypominają wronie gniazdo. Starajcie się, jak możecie. A teraz przećwiczmy wszystko jeszcze raz.

Zrobili to. Potem Jo zawołała innych. Usiedli w koło i rozmawiali o letnim przedstawieniu, które zaczną przygotowywać na wiosnę. Dzieci śmiały się i były zachwycone. Pożegnali się zadowoleni i umówili na następny dzień.

Brownowie, Jo i pani Thomas pojechali do domu dwoma samochodami. Jeden prowadził Saul, wioząc Bena, Jake'a i Tellera. Właściwie poważne role grali jedynie Jo, Bob i Teller. Inne dzieci miały tylko śpiewać kolędy po przedstawieniu. Obie najmłodsze dziewczynki Brownów były pewne, że przedstawienie uda się wspaniale. Zachwycaly się kostiumami, mówiły, że wszystko wygląda jak prawdziwe.

Gdy dotarli do domu, dziewczynki tak długo prosiły, aż wszyscy otoczyli choinkę i trzymając się za ręce zaśpiewali kolędę. Nawet Teller przyłączył się do nich.

Pani Thomas uroniła łzę. Potem spojrzała wymownie na Boba i zaczęła zapędzać dzieci na górę.

– Ja też jestem zmęczona – oświadczyła Jo. – Chyba pójdę do swego pokoju...

– Jeszcze nie. – Bob stał z rękami w kieszeniach i szczególnym wyrazem twarzy.

– Masz jakieś zmartwienie?

– Propozycję.

– Jaką?

Pokręcił głową.

– Nigdy w życiu nie spotkałem tak mało romantycznej dziewczyny! Powinnaś drzeć, denerwować się i... palić z niecierpliwości!

– Pragnę zrównoważonego męża – odpowiedziała trzeźwo.

– Zrównoważonego? – Bob zawahał się. Powoli opróżniał kieszenie, układając ich zawartość na stoliku pod lustrem w holu. Zdjął buty i stanął na rękach.

– Co ty wyprawiasz? – zaniepokoiła się Jo.

– Udowadniam, że jestem zrównoważony. Ktoś o zakłóconej równowadze nie mógłby tego dokonać.

Westchnęła i zacisnęła usta, potem spojrzała na niego. Klęczał.

Spróbowała powstrzymać uśmiech.

– Wiesz przecież, że taki jestem. Jestem stabilny i zrównoważony. Nawet ty powiedziałaś kiedyś, że jestem dobrym człowiekiem. Oddałem ci serce. A teraz dam ci pierścionek, żeby wszyscy mogli to zobaczyć.

– Pierścionek?

– Sprzedałem kije golfowe.

– Nie!

– No cóż, i tak nie prowadzi się tu żadnego kursu golfa.

Roześmiała się, jednak trochę niepewnie.

Wstał i podszedł do stolika. Wziął z niego małe, aksamitne pudełko. Nacisnął guziczek zamka i otworzył je. Pierścionek był piękny. Kosztował więcej niż komplet kijów. Bob usłyszał, jak Jo gwałtownie wciąga powietrze.

– Kocham cię – powiedział. – Wyjdiesz za mnie?

– Och, Bob.

– Co to oznacza? – zapytał poważnie.

– Pragnęłam cię już wtedy, gdy miałam sześć lat, a ty trzynaście. – W zielonych oczach dziewczyny błysnęły łzy. – Próbowałam dać ci trochę czasu, a jednocześnie na ciebie wpływać. Kochałam cię, – jeszcze zanim dowiedziałam się, co to naprawdę jest miłość.

– Powinnaś mi była o tym powiedzieć...

– Gdy ty skończyłaś szkołę, ja miałam zaledwie jedenaście lat! Co miałam zrobić?

– No tak, ale w końcu mnie usidliłaś.

– Wiedziałaś, że jesteś wart każdego wysiłku. Byłeś taki wspaniały w czasie burzy, gdy myślałeś, że naprawdę się boję.

– Dygotałaś bardzo przekonująco.

– Pragnęłam cię.

Z rozgoryczeniem pokręcił głową.

– Wystarczyło poprosić.

– Nic nie wskazywało na to, że się mną interesujesz.

– Opierałem się?

– Ignorowałeś mnie – rzuciła oskarżycielsko.

– Od czasu powrotu do domu myślałem o wszystkim, co robiłaś. Po prostu nie byłem wtedy jeszcze gotowy.

– A teraz? Teraz jesteś?

– Tak. Wyjdiesz za mnie i będziesz mnie kochać?

– Tak.

Pocałowali się delikatnie, łagodnie. Bob oderwał usta od warg ukochanej i spojrzał na nią poważnie. Wyjął pierścionek z pudełka i włożył na palec Jo.

– Dając ci ten pierścionek, ślubuję miłość. Och, Jo, nie wiesz nawet, jak jestem szczęśliwy! Przepelnia mnie taka... radość. Czy to nie brzmi zbyt sentymentalnie?

– Brzmi wspaniale.

– Przynajmniej mnie nie wyśmiałaś.

Przypomniała sobie, że była żona Boba nie traktowała go najlepiej.

– Czy jesteś pewien, że dobrze opanowałeś rolę i nie zawalisz przedstawienia?
– zapytała.

– Jasne.

– Nie musisz... trochę poćwiczyć?

– Po co?

– Poćwiczyć... wchodzenie do łóżka?

– Och. – Zmienił wyraz twarzy. – Zapomniałbym o tym; przecież dzisiaj na próbie sam leżałem na stole, a ty zajmowałaś się dziećmi. Powiedz mi, czy tata i mama są przyjaciółmi? Czy on może ją troszeczkę pocałować? A może powinien zionąć ogniem i rzucić się na nią?

– Powinien zachowywać się poprawnie...

– Och, więc to ma być takie małżeństwo?

– ... na scenie.

Bob objął ją mocniej.

Rozdział 10

Salty i Felicja wrócili rankiem. Bob wynajął już wcześniej przedłużoną limuzynę, żeby przywiozła ich z lotniska. Gdy wjechała w alejkę, szofer nacisnął klakson i z fasonem zahamował przy schodkach ganku. Wnętrze samochodu wypełniały poinsecje.

– To tutaj? – Kierowca spojrział z niedowierzaniem na fasadę domu, z której odchodziła farba.

– Oczywiście, mój drogi – usłyszał głęboki, wibrujący głos Felicji. – Nie patrz tak. Nie stać nas na remont, bo rozbijamy się limuzynami. Wejdz na szklaneczkę ponczu.

Skorzystał chętnie z okazji, żeby zajrzeć do środka.

W domu zapanował chaos. Bob powstrzymał małe dziewczynki przed wyjściem na mroźne powietrze, pozwolił jednak wyjść chłopcom; pomogli przenieść bagaże i kwiaty.

Szofer i Salty uginali się pod ciężarem bagaży zwieńczonych kwiatami, za to Feliga weszła lekko po schodkach, omiatając je długim futrem z norek.

– Dzieci! – zawołała, jakby dbając o to, by jej głos dotarł do najdalszych rzędów widowni – Wróciliśmy!

Rozległy się powitalne okrzyki. Gdy szofer wrócił do samochodu po pozostałe walizki i poinsecje, Felicja zwróciła się do Boba:

– Obiecałam temu chłopcu gorący poncz. On prowadzi samochód, więc nie dodawaj alkoholu.

Felicja dawała do zrozumienia każdemu dziecku z osobna, jak za nim tęskniła. Wiedziała dokładnie, co wszyscy robili, mogła więc zadawać właściwe pytania. Pochwaliła Tellerę za rolę renifera, a Saulowi wyszeptwała do ucha podziękowanie za sprowadzenie chłopaka do domu.

Salty przywitał się z dziećmi, Jo i Bobem. Zapytał syna, kiedy przyjadą inni.

– Za chwilę – odparł Bob.

– Będzie ci potrzebna limuzyna? – dopytywał się Salty. – Trzeba kogoś przywieźć?

Szofer siedział przy kominku, przyglądał się i słuchał; teraz wstał, gdyż uznał, że może być potrzebny.

– Nie – odparł Bob – już wszystko załatwione.

Czujesz ten zapach? To indyk pani Thomas. Poprosiła o pomoc swą

przyjaciółkę, panią Gates.

Salty uśmiechnął się do pani Thomas, która właśnie weszła.

– Pachnie świetnie – wyraził swe uznanie – Już dawno tak dobrze się nie bawiłam. Było po prostu wspaniale – odpowiedziała pani Thomas.

– Cieszę się, że się pani podobało. Jesteśmy pani bardzo wdzięczni.

– Szkoda, że nie macie dodatkowego pokoju; wprowadziłabym się na stałe – szepnęła starsza pani rozmarzonym głosem.

Ktoś zabrał norki Felicji i przewiesił je przez poręcz schodów. Dzieci poustawiały poinsecje, uzupełniając świąteczne przybranie domu. Starsi chłopcy zanieśli walizki na górę. Jednym z nich był Teller. Salty i Felicja mieli spać w jednym z pokoiów małych dziewczynek, zostawiając swój pokój dla pani Thomas, która zostawała na święta.

Felicja dostrzegła pierścionek zaręczynowy Jo i zachwyciła się nim. Uściskała dziewczynę i obie zaśmiały się radośnie. Salty objął Jo i szepnął:

– Zawsze chciałem mieć rudą córkę. Pomyśl tylko, jak musiałem się napracować, żeby zrealizować to marzenie.

– Napracować? – zapytał Bob, który dosłyszał te słowa.

Nikt nie zwrócił na niego uwagi. Może specjalnie? W jaki sposób ojciec się „napracował”?

Podczas gdy Phillip, szofer, powoli sączył poncz, przybyła reszta rodziny. Samochody zajeżdżały na specjalnie wysprzątanym przez Saula placu, pod nagie o tej porze roku konary wiązu. Dorośli nadchodzili odśnieżonymi ścieżkami, popędzając starsze i młodsze dzieci.

Bob kierował ruchem, wskazując wszystkim drogę do pokoiów, które mieli zajmować. Robił to tak sprawnie, że Phillip doszedł do wniosku, iż musiał to wcześniej przećwiczyć.

Było wiele hałasu. Właściwie przez cały czas rozlegał się czyjś śmiech. Od czasu do czasu dał się słyszeć krzyk albo płacz jakiegoś dziecka, jednak ktoś z dorosłych badał natychmiast przyczynę i podejmował środki zaradcze.

Ponieważ wszyscy goście często odwiedzali dom Brownów, nikt nie czuł się obco. Mimo niewygód, nikt nie chciał, by umieszczono go w jakimś innym domu. Bob doszedł do wniosku, że wszyscy musieli być bardzo tolerancyjni; gnieździli się w zatłoczonych pomieszczeniach, a obecność innych wcale im nie przeszkadzała. On sam przez całe lata nie odwiedzał rodziców, a przecież... tutaj właśnie był prawdziwy dom.

Wcześniej Saul, Ben, Jake i Teller poustawiali stoły; Jo i Bob kierowali tą pracą

i pomagali chłopcom.

W ogromnej jadalni mogła się pomieścić cała rodzina. Dorośli siedzieli przy jednym, przedłużonym stole, za którym znalazło się też miejsce dla Phillipa. Dla średnich dzieci przeznaczono drugi stół, a najmłodsze porozsadzano tak, żeby rodzice mogli je pilnować.

Bob spojrział na matkę; siedziała z łokciem opartym o stół, opierając podbródek na dłoni. Słuchała kogoś uważnie. Salty przerwał jedzenie, przechylił głowę i patrzył zachęcająco na jednego z gości, który postanowił wygłosić przemówienie. Jak zwykle przy takich okazjach, Salty i Felicja przesiedli się w połowie posiłku do stołu dzieci, zajmując miejsce dwojga, które wysłali do stołu dorosłych.

Bob obserwował jednak przede wszystkim Jo. Czarująca, piękna, pomyślał. Doskonała. Śmiała się, słuchała, uspokajała młodsze dzieci. Należała do nich wszystkich. Gdzie nauczyła się podobnego zachowania, skoro pochodziła z rodziny o chłodnych, sztywnych manierach?

Po południu program dnia różnił się dla przyjezdnych i tych, którzy brali udział w przedstawieniu. Wszystkich czekała lekka kolacja.

Jo, Bob, Felicja i Teller pojechali wcześniej do ośrodka.

Nikogo nie zdziwił fakt, że towarzyszył im Phillip, kierowca. Bob pożyczył mu sweter i wełnianą czapkę. Limuzynę wypełniały starsze dzieci, które chciały się nią przejechać. Wszyscy Brownowie wybierali się na przedstawienie, żeby obejrzeć je razem z mieszkańcami miasteczka.

Brownowie nie mogli siedzieć razem; było ich tak wielu, że mężczyźni musieli stać, a dzieci usiadły na podłodze przy scenie, razem z dziećmi z miasteczka.

Aktorzy słyszeli zza kurtyny szelest, szepty i inne odgłosy oczekiwania. Poczuli lekką treść i podniecenie.

Zajęli swe miejsca; rozległa się muzyka, która miała uciszyć publiczność. Chór odśpiewał piosenkę „Święty Mikołaj przybywa do miasta”. Gdy ucichł, rozległy się brawa, a potem zapanowała cisza. Kurtyna powoli rozsunała się na boki, a aktorzy dojrzelili spoza reflektorów błyski światła odbijanego przez biżuterię i błyszczące suknie; ludzie przesuwali się, żeby lepiej widzieć, odkastywali i poprawiali się na krzesłach.

Gdy już całkiem ucichli, rozległ się głos kaznodziei:

– W tę noc wigilijną... – Narrator zamilkł.

Bob wyszedł na scenę. Za nim, na drugim planie, przebiegły myszy i schowały się w specjalnie przygotowanej szczelinie. Przez widownię przeszedł szmer aprobaty.

Strój taty składał się z białej koszuli nocnej, która odsłaniała owłosione łydki aktora, kapci bez pięt i czerwonej szlafmicy. Bob trzymał w ręku mosiężny świecznik, w którym tkwiła zapalona świeca. Na scenie panował półmrok; snop światła reflektora wędrował za Bobem, tworząc jasny krąg udający światło świecy.

Gdy podchodził do kominka, w którym zamiast płonącego ognia tańczyły czerwone wstążki, wprawiane w ruch powiewem z wentylatora, myszy wyskakiwały z ukrycia i chowały się w cieniu, poza zasięgiem światła świecy. Dzieci na widowni chichotały.

Na kanapie drzemał kot; myszy wcale go nie obchodziły. Zaalarmowany hałasem pies uniósł głowę, jednak nie ruszył się z miejsca. To było dobrze pomyślane i zagrane.

Tata zajął jeszcze do pokoju dzieci, a potem wszedł do alkowy mieszczącej łóżko, w którym spała już mama. Odsunął kołdrę, usiadł, zsunął kapcie i położył się. Pocałował mamę, co wywołało brawa męskiej części widowni.

Narrator podjął przerwany wątek:

– Gdy wszyscy już spali, gdy nawet myszy przestały harcować...

W tym momencie jedna z myszek wysunęła głowę z dziury i rozejrzała się wokół. Oglądające przedstawienie dzieci były zachwycone.

Dzieci-aktorzy spały smacznie w swych łóżkach; wokół tańczyły wesoło bajecznie kolorowe cukierki.

Rodzice poprawili się w łóżku, szykując się do długiego, zimowego snu, gdy nagle z zaśnieżonego trawnika przed domem dobiegło wesołe dzwonicie.

Bob wstał, podszedł do okna. Otworzył okiennice i podniósł ramę osadzonego w szynach okna.

Za oknem ukazał się księżyc, oświetlając świeżo spadły śnieg. Publiczność zobaczyła teraz sprytnie wmontowany w przedstawienie film, ukazujący nadjeżdżające z daleka po niebie sanie zaprzężone w renifery. Sanie zbliżyły się; zniknęły na krótko i pojawiły się nagle na dachu, na którym racice zwierząt zaczęły wybijać wesoły rytm.

Światło reflektora wydobyło z mroku renifery; zwierzęta przebierały racicami i stawały dęba. Wypchane watą rogi trzymały się dobrze dzięki drucianym usztywnieniom. Załadowane sanie znieruchomiały koło komina.

Ta scena poszła doskonale. Publiczność klaskała.

Światło reflektora spoczęło na Bobie, który odwrócił się, gdy Porter, Święty Mikołaj, z hałasem wchodził do domu przez komin. Potem Porter wyskoczył z kominka, trzymając się za siedzenie, jakby się oparzył. Publiczność wybuchnęła

śmiechem.

Na otulającym Mikołaja od stóp do głów futrze widać było ślady popiołu i sadzy. Nie wypowiadając ani słowa, od razu przystąpił do dzieła: zaczął wyjmować prezenty.

Mała myszka wyszła ze swej dziurki; przechyliła główkę i uniosła rękę. Wyglądała uroczo. Gdy tata przechodził obok niej, zasłoniła łapkami oczy, przestraszona blaskiem świecy. Potem opuściła dłonie i zaczęła przyglądać się Bobowi, który obserwował pracę Mikołaja. Podeszła bliżej, aż wreszcie przytuliła się do nogi człowieka, nie odrywając wzroku od przybysza. Bob położył rękę na jej główce. Mikołaj obejrzał zabawki, by się upewnić, że wkłada je do odpowiednich pończoch. Położył na kanapie obok kota wypchaną mysz; przestraszony kot wskoczył na oparcie. Publiczność była zachwycona.

Myszy, dzieci i mama powychodzili z łóżek i posłań. Z głębin mroku oglądali Mikołaja, pokazywali go sobie, gestykulowali. Gdy Święty Mikołaj napełnił już wszystkie pończochy, podszedł do kominka, skinął głową i wyszedł przez komin po... dwóch nieudanych próbach.

Sanie zniknęły z dachu, a wtedy znów włączono film. Publiczność zobaczyła nocne, rozgwieżdżone niebo. Po niebie mknęły oddalające się sanie; siedzący w nich Mikołaj machał do wszystkich ręką. Publiczność usłyszała głos Portera:

– Wesołych świąt!

Zerwała się burza oklasków.

Aktorzy kłaniali się, publiczność klaskała i wiwatowała. Mama i tata stali obok siebie. Bob znów pocałował Jo.

Ozdobiona rogami głowa Tellera zwróciła się w ich kierunku. Bob mrugnął porozumiewawczo do chłopca, a ten się uśmiechnął.

Na scenę wyszli kołędnicy. Bob stał wśród nich, trzymając za rękę Jo. Myszki, cukierki, dzieci i renifer także wmieszali się w tłum kołędników. Światła wzniesionego na scenie domu rozjarzyły się. Publiczność śpiewała kolędy razem z chórem.

Dzieci śpiewały ze szczególnym zapałem. Bob uznał, że tak mogą śpiewać tylko ci, którzy naprawdę wierzą w Świętego Mikołaja. Uśmiechnął się, słysząc słowa kolędy: „Tam na dachu...” Może warto oszukiwać dzieci, pomyślał.

Patrzył na twarze ludzi śpiewających kolędy. Odniósł wrażenie, że dorośli stali się dziś znów dziećmi, że świat był dla nich znów pełen magicznych powabów.

Spojrzał na Jo. Ona była jego czarem, spełnieniem dziecięcych marzeń. Ścisnął dłoń dziewczyny, a ta zapomniała, że jest na scenie i po prostu odwzajemniła

uśmiech. Zdawało się im, że wszyscy ludzie wokół zniknęli, że są teraz sami.

– Wesołych świąt, pani Brown – szepnął.

– Na razie jestem jeszcze panną Malone – odszepnęła.

– Myślę, że nabyła już pani prawo do noszenia mojego nazwiska.

Zarumieniła się i skromnie nakryła oczy powiekami.

– Wstydziłby się pan, panie Brown – szepnęła.

– Kiedy za mnie wyjdiesz?

– Może jutro?

– Nie mam dokumentów – przestraszył się.

– Głupcze – zadrwiła. – Muszę przecież uszyć suknię i zaprosić wielu gości...

– Tak, rzeczywiście. Kiedy?

– A kiedy byś chciał?

– Za tydzień?

– Tydzień? – westchnęła.

– Ciszej! – syknął ktoś.

Jo znów spłonęła rumieńcem. Bob spoglądał na nią niewinnym wzrokiem.

– O czym tak myślisz, że aż się zaczerwieniłaś? Wiesz, o czym ja myślę? Gdzie spędzimy miodowy miesiąc.

– Ciszej – ofuknęła go Jo.

– Kocham cię, Jo Brown.

Zapomniała, że powinna teraz śpiewać; spojrzała na niego. Kilka osób wśród publiczności zauważyło tę ukradkową wymianę zdań na scenie. Patrzyło na kochanków z sympatią i czułością.

Brownowie spostrzegli, że w czasie przedstawienia przybył jeden z ich synów, Creighton. Stał nieco z tyłu; wyglądał trochę obco w tym tłumie zwykłych Amerykanów. Miał krzaczastą brodę i rozbiegane oczy. Był ubrany w znoszoną kurtkę z wielkimi kieszeniami. Wyglądał jak elegancki włóczęga. Nazywali go Cray.

Felicja nie musiała udawać radości, jednak okazywała ją w milczeniu. Wprost odebrało jej głos. Przylgnęła do Craya, przetykała ślinę; radość zapała jej dech w piersi.

Gdy inni mieszkańcy Tempie odkryli, kto kryje się za bujną brodą, zaczęli poklepywać Craya po ramieniu, witać się z nim i zadawać pytania. Dobrze, że przedstawienie dobiegło już końca; Cray odwróciłby od niego uwagę widzów.

Ludzie tłoczyli się, rozmawiali, uśmiechali do siebie i składali życzenia. Wreszcie rozeszli się, by pojechać do domów.

Brownowie także wyruszyli w drogę.

Cray i Bob przystanęli na chwilę na ganku. Pokręcili głowami, uśmiechnęli się. Pierwszy przerwał milczenie Cray.

– Masz prawdziwy skarb – pogratulował bratu.

– Na Boga, tak! Jej doskonałość aż mnie trochę przeraża.

– Zaslługujesz na kogoś takiego... wreszcie.

– Nigdy nie mówiłeś tak o Debrze.

– W jej źrenicach widziałem znak dolara, a na końcach palców szpony.

– Ja też to dostrzegłem, ale dopiero wtedy, kiedy już było po wszystkim. Byłem naprawdę głupi.

Weszli w milczeniu do domu i usłyszeli głos Salty'ego:

– ... już myśleliśmy, że będziemy musieli zostać w Nowym Jorku do wiosny!

Wszyscy stłoczyli się wokół Craya; Bob nie usłyszał więc, dlaczego jego rodzice mieliby zostawać tak długo w Nowym Jorku?

Młodsze dzieci ziewały; zostały odesłane do łóżek. Starsze miały jeszcze trochę czasu. Z głośnika gramofonu płynęły kolędy, drzewko migotało ozdobami, a stopy prezentów kusiły samym swym wyglądem. Niestety, zgodnie ze zwyczajem można je było rozpakować dopiero w pierwszy dzień świąt.

Podano wino i świąteczne ciasta. Wszyscy znajomi i krewni wzniesli specjalny toast za Mike'a, który odbywał służbę w marynarce.

Później Bob dosłyszał słowa matki:

– Nie mogliśmy tam wytrzymać. Raz nawet już prawie postanowiliśmy pojechać do Londynu, żeby...

Bob zmarszczył brwi. Nie miał pojęcia, co przeszkadzało rodzicom na wschodnim wybrzeżu. Byli tam prawie przez miesiąc, ale w końcu Nowy Jork nie jest nudnym miastem. Skoro nie mogli tam wytrzymać, dlaczego nie wrócili po prostu do domu?

Bob zmrużył oczy i jeszcze bardziej zmarszczył brwi. Salty wypowiedział chyba pewne słowo. Dziwne słowo. Fortel?

Dostrzegł Jo. Nadal miała na sobie sceniczny kostium: długą nocną koszulę. Wyglądała cudownie. Całkowicie odwróciła jego uwagę od zagadkowych wypowiedzi rodziców.

Właśnie wtedy rozległ się głos jakiegoś mężczyzny:

– Jesteśmy tu wszyscy. Dlaczego nie teraz? Cray podniósł rękę i dodał:

– Racja! Urządzimy sobie kocią muzykę! Zwykle robili to na cześć nowożeńców...

– Co? – zapytał Bob. – O czym wy mówicie?

– Sprowadzimy księdza i połączymy was węzłem małżeńskim. To zaoszczędzi wiele wysiłku; wszyscy musieliby wyjechać po świętach, a po tygodniu znów tu przyjeżdżać. Rodzina Jo też jest w miasteczku. Są wszyscy. Zróbmy to!

Zabrzmiały brawa przewyższające nawet te, którymi publiczność nagrodziła aktorów po przedstawieniu.

– A gdzie będziemy spać? – zapytał Bob.

Rozległy się okrzyki i śmiechy.

– To znaczy, że Bob jest gotów. A ty, Jo?

– No...

– Wspaniale! Zatelefonuję do twojej rodziny, a Phillip przywiezie ich limuzyną, dobrze?

Bob i Jo wymienili spłoszone spojrzenia. Potem Bob uśmiechnął się, a przyzwalające spojrzenie Jo sprawiło, że poczuł ciepło wokół serca.

– Panno Malone, czy uczyni mi pani ten zaszczyt?

– zawołał.

Roześmiała się.

Znów wybuchły brawa. Dzieci powychodziły z łóżek. Słuchały, zadawały pytania i wykrzykiwały, że i tak nie usną w tym hałasie. Dorośli uciszali je i udzielali wyjaśnień. Niektóre dzieci wróciły na górę, inne, zwłaszcza starsze, zostały. Wśród tych ostatnich znalazł się Teller.

Salty zatelefonował, do kogo trzeba i można było zacząć przygotowania do ceremonii. Pastor przybył wraz z rodziną, a Phillip przywiózł Malone'ów. Jo poprosiła siostrę Boba, Carol, żeby była jej druhną, a Bob brata, Craya, żeby był jego drużbą.

Wzięli ślub pod jemiolą, między holem a salonikiem, gdyż w tym miejscu wszyscy mogli ich widzieć. Ceremonia wypadła wspaniale. Jo wystąpiła w swym scenicznym kostiumie, zaś Bob, żeby jej towarzyszyć, włożył górę od piżamy i szlafmycę. Nikt ze zgromadzonych nie widział nigdy przedtem tak dziwacznie wystrojonej młodej pary.

Wydarzenie to sprawiło, że wieczór przeciągnął się, a zabawa stała się jeszcze weselsza. Goście proponowali, żeby sfilmować młodą parę i wysłać kasetę na konkurs. Jo nie zgodziła się na to, a Bob ją poparł.

W końcu spełniono toasty, zagnano dzieci do łóżek, a pastor odjechał wraz z rodziną. Mimo to został jeszcze Phillip i Malone'owie. Przyjęcie toczyło się więc dalej.

Salty utrzymywał strych w klinicznej czystości, no i stało tam stare łoże ze słupami do baldachimu. Felicja, Georgia i Carol weszły na strych, pościeliły łóżko i postawiły na stoliku wazon z poinsecjami. Odgrodziły teren nowożeńców parawanami.

W kącie strychu stała niewielka wanna używana w dawnych czasach przez służbę; ponieważ dom miał wielu mieszkańców, używali jej też od czasu do czasu, a więc i ona świeciła czystością. Kobiety powiesiły tam czyste ręczniki.

Ekipa ścieląca łóżko zeszła na dół i ogłosiła, że komnata jest już przygotowana. Rozweseleni goście postanowili odprowadzić młodą parę na górę.

Wreszcie niechętnie zostawili ich samych i zamknęli drzwi strychu. Bob wyskoczył z łóżka i przesunął rygiel. Potem wrócił i uśmiechnął się nieśmiało do swej oblubienicy.

– Czy naprawdę chciałaś, żeby to wszystko stało się tak szybko?

– A ty?

– Ja chciałem już dawno. Z pewnością musiałem okazać, że jestem tym zainteresowany. Co za szczęście! Mieć rodzinę, która widzi wahającą się kobietę i potrafi nakłonić ją fortelem, żeby... – urwał.

– Co to ma znaczyć?

– „Fortel” to słowo, jakiego użył Salty. Josephine Brown, czy wiesz, że nami manipulowano?

– Nie!

– Tak. Myślę, że Salty i Felicja zrobili to dla nas.

– Czy wiesz, że wyjechali i zostawili nas tu samych specjalnie po to, żebyś się we mnie zakochała i wyszła za mnie za męża?

– Wstrząsające!

– Tak. Czy możesz uwierzyć, że my, w naszym wieku, leżymy na strychu w idiotycznym łóżku z baldachimem i że wzięliśmy ślub w koszuli nocnej i piżamie?

– Mówisz to z takim entuzjazmem...

Stanął na łóżku.

– Chwytałem się wszystkiego, bylebyś tylko za mnie wyszła.

– Nie jesteś więc ofiarą spisku?

– Gorliwym uczestnikiem.

– Jestem taka śpiąca. Nie przeszkadza ci to?

– Nie. To w końcu jakaś odmiana. Nie rwiesz na mnie ubrania, żeby rzucić się na moje ciało.

– Więc wyszłam za ciebie! Mój Boże, co się stało z moim rozsądkiem?

– Masz szczęście, dziewczyno. Grupa rozsądnych ludzi nadała twemu życiu właściwy kierunek. Wybrali mnie jako twego przewodnika na nowej drodze życia.

– Chcieli się ciebie pozbyć już od chwili, gdy się urodziłeś.

– To prawda. Czy czujesz się jak złożona na stosie ofiara?

– Nie. Czułabym się, gdybyś nie zamknął drzwi na rygiel. Teraz mi nie uciekniesz. Powiedziałam ci przecież, że kocham cię, odkąd skończyłam sześć lat.

– Przedwcześnie rozwinięte dziecko. – Skinął głową. Potem dodał z namysłem:

– Czy wiesz, że Salty i Felicja wcale się nie zdziwili, gdy wrócili do domu i dowiedzieli się, że jesteśmy zaręczeni?

– Jo zastanowiła się.

– Rzeczywiście. Nie byli tym zaskoczeni. A ja byłam. Nigdy nie myślałam poważnie, że zrobimy ten krok. To dlatego musiałam chwycić okazję.

– Co byś zrobiła, gdybym wyjechał i zniknął gdzieś w wielkim świecie?

– Byłabym starą panną. Nie mogłabym poślubić innego mężczyzny. To by nie było wobec niego uczciwe.

– A więc mnie kochasz?

– Och, Bob, kocham cię tak bardzo.

– Dzięki Bogu.

– A ty? Czy naprawdę mnie kochasz, Bob?

– Kocham cię tak bardzo, że wykorzystałem szansę i schwytałem cię w pułapkę. Jak mogłabyś teraz się ze mną rozwieść? Ślubowałaś mi wierność w obecności tak wielu osób! – Zaśmiał się lubieżnie. – Mam cię!

– Co zamierzasz ze mną zrobić?

– No cóż... spędzimy pracowitą noc.

Zaczęli się kochać. Powiedział jej, że jest cudowna, a ona jemu, że jest wspaniała. Przytulali się do siebie i uśmiechali. Potem zasnęli.

Obudzili się jeszcze w nocy i stwierdzili z zachwytem, że są razem.

– Widzisz? – powiedział Bob. – Pozostajesz w szacownym związku. Rude włosy wcale nie są przekleństwem.

– Powiedziałam tak tylko po to, żebyś mógł świadomie dopomóc w moim upadku.

– Dlaczego, pani Brown! – wykrzyknął, a potem dowiódł, że to ona jest lubieżna, a nie on, niewinny mężczyzna.

Następnego dnia zeszli na śniadanie dość późno.

Stwierdzili, że cała rodzina rozpakowała już prezenty i szykuje się do kolacji.

Nowożeńcy odnaleźli rodziców Boba.

– Wcale się nie zdziwiliście, że jesteśmy zaręczeni!

– stwierdził ich syn.

Felicja i Salty uśmiechnęli się dość ostrożnie.

– Po tym moim telefonie, kiedy powiedziałem, że wracam do domu... po jakim czasie wybraliście Jo?

– pytał Bob.

– Od razu – odpowiedział Salty.

Nawet nie próbowali zaprzeczyć.

Bob z namysłem pokiwał głową, jednak Jo uśmiechnęła się do jego rodziców. Weszli razem do jadalni. Reszta rodziny stała wokół stołu ze wzniesionymi kieliszkami.

– Wesołych świąt! – wykrzyknęli chórem do nowożeńców.

– Dziękujemy. – Bob odpowiedział za nich oboje.

Uniósł dłoń żony i pocałował. Potem spojrział na rodziców.

– Dziękuję – powtórzył, kierując te słowa specjalnie do nich.